



WIELKOPOLSKA

SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

Wielkopolski Widnokrąg

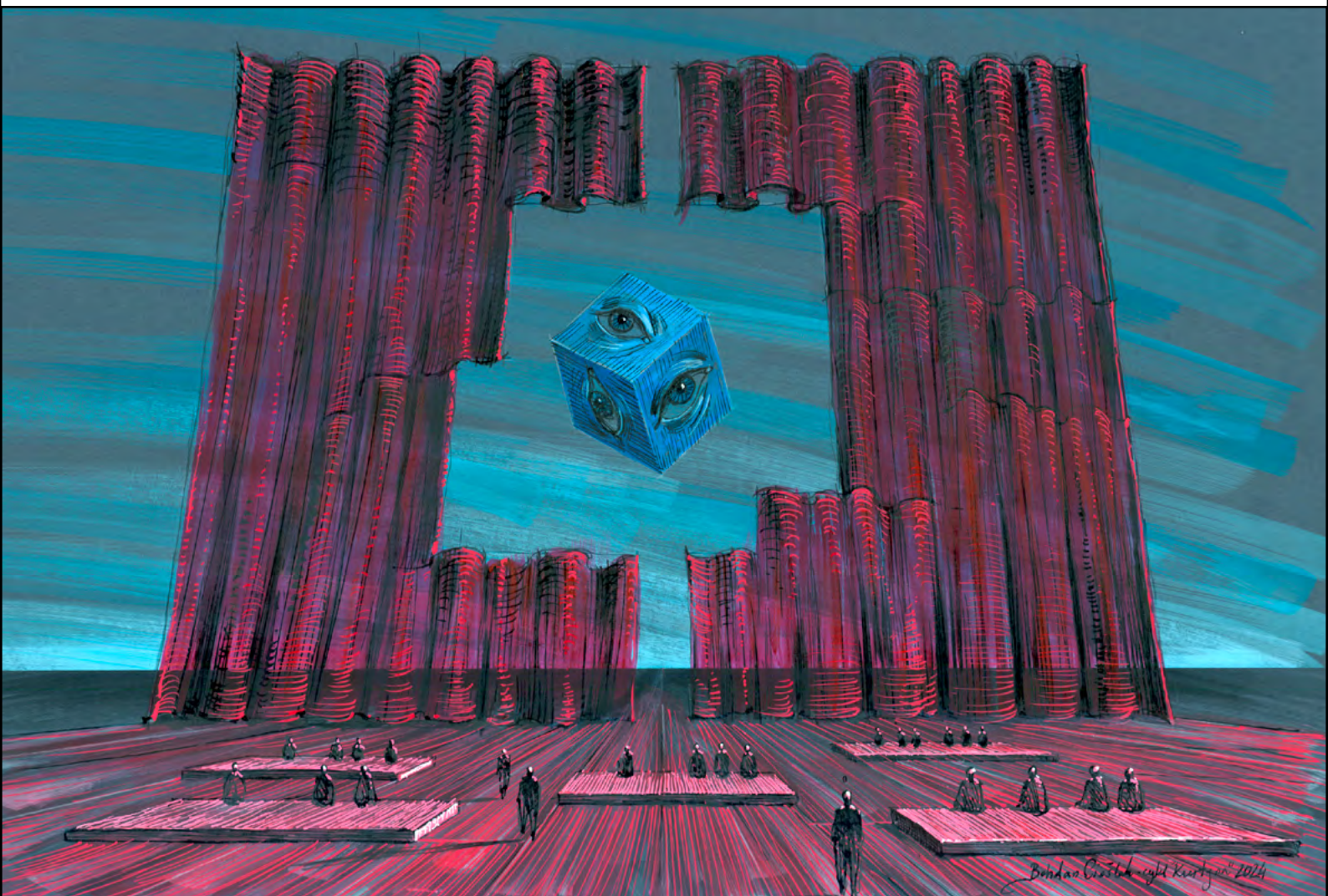
Nr 1/(9)

wiosna - lato

2024

Poznań

PERIODYK LITERACKO - KULTURALNY



1. *Od Redakcji* 2. Nobel w spódnicy - Pearl S. Buck - **Małgorzata Jańczak** 3. Kroniki literackie prowincji, Rok 1918 - **Witold Banach** 4. Apoftegmat - **Adam Wiśniewski**
5. Wiersze - **Marek Czuku** 6. Wiersze - **Krzysztof Szymoniak** 7. Suzana V. Spasovska - **Kalina I. Ziola** 8. Kulturowa repetycja, czyli śmierć i dyskretne zmartwychwstanie metafory - **Tomasz Gruchot** 9. Preludium budowania głowy - recenzja **Edyta Kulczak**
10. Nocne stwory - recenzja **Jerzy Stasiewicz** 11. Terminator - **Przemysław Kulczak**
12. Osorezan, miejsce lęku i trwogi - **Danuta Zasada** 13. O Żydzie, który wolał być Franzuzem - **Marcel Woźniak** 14. Książę. Historia pewnego szaleństwa - **Jolanta Sroczyńska**
15. To przydarzyło się naprawdę - **Bogna Skrzypczak** 16. Listy do Norwida - **Henryk Kamiński** 17. Paweł Kościelski, Piotr Kwiatkowski - **Poeci z Wielkopolski** 18. Postawy Cyncerona i Attykusa... - **Danuta Dachtera** 19. Marcin Rożek - wielkopolski artysta, powstaniec, patriota - **Jarosław Rostkowski** 20. Odrodzony Rycerski Zakon Bibliofilski - **Sławomir Krzyśka** 21. Siła słów i znaczeń... - **Beata Bednarowska** 22. Dyżurne czytanie - **Andrzej Mularczyk** 23. Kontynuacja, sprzeciw i artystyczna rebelia - **Dariusz Głowacki**
24. A. Budzyńska, W. Szyndrowska - **Debiuty** 25. I wtedy Kącik Literacki westchnął - **Marcin Szyndrowski** 26. *Milowy Słup Kultury* •wiersz na (d)okładkę N. Skupniewicz

Wiersz na (d)okładkę:

**

**kto teraz wie
dokąd naprzód gnać lub skąd dziś wspak szeleścić
którędy we dnie w nocy wycofać armadę swojego
strachu**

-
-

**nie ścigam się
ale wzwyż owszem /to skok/**

:

**głupota może zarażać
więc gwizdząc
omijam wzgórze kretowisk**

Norbert Skupniewicz



Otrzymano dofinansowanie z budżetu
Województwa Wielkopolskiego



Redakcja wyraża podziękowanie Autorom za nieodpłatne udostępnienie tekstów
i materiałów ikonograficznych z archiwów prywatnych.

Redakcja zastrzega sobie zmiany redakcyjne w nadesłanych przez autorów
tekstach ze względu na kompozycję i możliwości edytorskie.

Okładka: Bohdan Cieślak, *szkic do cyklu „Kurtyna”, 2024.*

WIELKOPOLSKI WIDNOKRĄG, PERIODYK LITERACKO-KULTURALNY

Redaktor naczelna: Edyta Kulczak, Redaktor graficzny i skład DTP: Witold Zakrzewski.

Redakcja: Beata Bednarowska, Przemysław Kulczak, Stali współpracownicy: Bohdan Cieślak,
Małgorzata Jańczak, Zbigniew Ikona Kresowaty, Danuta Zasada.

Numer 1 (9)/ wiosna-lato 2024. Wszelkie prawa zastrzeżone ©2021-2024.



Ekologiczne Stowarzyszenie
Środowisk Twórczych EKOART



Drodzy Czytelnicy!

Tym razem zdążyliśmy przed latem :) – nim wodę w Bałtyku podgrzało słońce, a Wasze serca wakacje. Nowy numer *Wielkopolskiego Widnokregu* znowu rozmaity, kolorowy, bogaty w profesjonalne słowo literackie i znakomity artystyczny wyraz.

Dzisiaj polecę Wam wyjątkowo – okładkę! Nie dlatego, że tam interaktywny spis treści i wielu Wam znanych znakomitych twórców, ale także z uwagi na kolejny rysunek profesora Bohdana Cieślaka, należącego do nowego cyklu „Kurtyna”, który w całości będziecie mogli obejrzyć podczas wystawy w Poznaniu w Teatrze Ósmego Dnia już od początku lipca. Wernisaż wzbogaci filmowa projekcja obrazów, do którego jako dopełnienie ktoś już układa muzykę.

A w świecie literatury? Jest wspaniała proza Witolda Banacha, artykuły Małgorzaty Jańczak i Danuty Zasady, którzy w dziennikarski i literacki sposób drążą tajniki świata i historii. Pojawiają się też nowe na naszych łamach, ale doświadczony pióra – Marcel Woźniak, Tomasz Gruchot, Bogna Skrzypczak-Walkowiak. Gorąco polecam poezję – jest w czym wybierać: Krzysztof Szymkowiak, Marek Czuku, poetka macedońska Suzana V. Spasovska w tłumaczeniu Kaliny Izabeli Zioły, kilku młodych twórców, a nawet debiutująca młodzież, którą gościmy w naszym piśmie zawsze z największą przyjemnością.

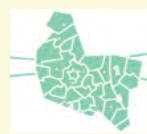
Znakomitym dopełnieniem jest twórczość ukazująca dorobek mniejszych ośrodków kultury Wielkopolski – tym razem polecam znakomity i wielce interesujący esej poświęcony artyście Marcinowi Rożkowi autorstwa debiutującego u nas historyka i kustosa Muzeum Regionalnego w Wolsztynie Jarosława Rostkowskiego.

Życzę Państwu przyjemnej lektury oraz ekscytujących przeżyć inspirowanych sztuką. Dzielcie się z nami swoimi przemyśleniami - czy to w nadesłanych utworach, czy w komentarzach na koncie facebookowym i instagramowym. Wkrótce otworzy także przed Wami wrota kraina strony internetowej *www. Wielkopolskiego Widnokregu*. Serdecznie zapraszamy!

Redaktor naczelna Edyta Kulczak



phot. W. Zakrzewski



4.

Małgorzata Jańczak

Nobel w spódnicy – Pearl S. Buck

Pearl Sydenstricker Buck znana również pod pseudonimem John Sedges oraz pod chińskim nazwiskiem Sàì Zhēnzhū jest pierwszą pisarką z USA, której przyznano literackiego nobla. Nagrodę dostała za „wspaniały epicki opis życia chińskich chłopów i za biograficzne arcydzieła”. Była również pierwszą noblistką, którą postawiono przed sądem kościelnym za herezje. Prezbiterianin, ojciec James Graham pisał o noblistce: „Ta nieszczęsna istota utraciła orientację, upodliła kobiecość, sprostyowała intelekt, zdradziła pamięć czcigodnych rodziców”. Ojciec Graham czuł się uprawniony do wydawania takich osądów, ponieważ rodzice Sydenstricker byli misjonarzami prezbiteriańskimi. Misjonarscy rodzice wyjechali do Chin w 1892 roku, kiedy Pearl miała zaledwie 3 miesiące.

Już w wieku czterech lat mówiła i pisała po chińsku i po angielsku. Dziewczynka została zapisana do szkoły Miss Jewell w Szanghaju. Pearl była przerażona rasistowskimi postawami uczniów. Ona wychowana w dwujęzycznym środowisku, w którym lokalnego dialektu uczyli ją chińscy towarzysze zabaw, a chińskiego klasycznego uczył ją naukowiec, pan Kungnie, nie mogła odnaleźć się w tej szkole. Wyniosła z niej, jak mówiła „przeświadczenie o dużej potrzebie wzajemnej tolerancji”.

Do USA pojechała na studia, miała wtedy 18 lat. Po powrocie w 1917 roku wyszła za mąż za Johna Lossinga Bucka. W 1920 roku urodził im się syn, a w 1925 adoptowali Janice. Buck był amerykańskim ekonomistą rolnictwa specjalizującym się w gospodarce wiejskiej Chin. Do Chin wyjechał w 1915 roku jako misjonarz rolniczy dla Amerykańskiej Misji Prezbiteriańskiej. Po dwudziestu latach małżeństwa noblistka rozwiodła się i wyszła ponownie za mąż, za wydawcę swoich książek – Richarda Walsha. W swoim dorobku życiowym poza dwoma mężami ma również ośmioro dzieci, w tym siedmioro adoptowanych, pochodzenia azjatyckiego.

Jej debiutem jest opublikowana w 1930 roku powieść „Wiatr ze wschodu, wiatr z zachodu”. W książce Pearl Sydenstricker Buck przedstawiła historię życia chińskiej kobiety i jej rodziny na tle przemian zachodzących w chińskim społeczeństwie początku XX wieku. Buck była płodną pisarką, w sumie wydała ponad 70 powieści, zbiorów opowiadań, książek dla dzieci, biografii i przekładów z języka chińskiego. Pisanie traktowała prawie jak pracę biurową, codziennie zaczynała o godzinie dziewiątej rano, a kończyła po trzynastej. Zazwyczaj pisała osiem stron w ciągu dnia. W latach 1914/32, już po ślubie z Johnem Lossingiem Buckiem, była prezbiteriańską misjonarką. Z czasem jednak zaczęła wątpić w potrzebę zagranicznych misji. Jej poglądy stały się kontrowersyjne, atakowana przez fundamentalistów postanowiła zrezygnować z pracy w misji. Przed sąd prezbiteriański przyszłą noblistkę mogła doprowadzić już tematyka jej utworów.

Buck pisała głównie o prawach kobiet, migracjach, działalności misjonarskiej i wojnie wi-



Luise Rainer i Paul Muni w „Dobrej ziemi” Sidneya Franklina

dzianej z innej perspektywy. W swoich książkach zawsze sprzeciwiała się japońskiej okupacji Chin. Była zaangażowana w pomoc ofiarom powodzi w Chinach w 1931 roku, a opisanie przez nią losy uchodźców zaowocowały słuchowiskiem emitowanym w amerykańskim radiu, następnie zostały spisane i wydane w zbiorze „Pierwsza żona i inne historie”.

Plakat do filmu Dobra ziemia 1937r.

Jej kolejna powieść „Łaskawa ziemia” stała się najlepiej sprzedającą książką w latach 1931/32. Przyznano jej za nią Nagrodę Pulitzera. Ekranizacja książki zatytułowana „Dobra ziemia” otrzymała w 1937 roku dwa Oscary. Dla Luise Rainer za rolę kobiecą i dla Sidneya Franklina - najlepszego reżysera.

Biografowie pisarki twierdzą, że to właśnie adaptacja powieści, której tytuł znany był w kilku wersjach: „Łaskawa ziemia”, „Dobra ziemi”, „Błogosławiona ziemia” rozpowszechniła twórczość Pearl S. Buck w Europie. Rok po zrealizowaniu filmu przyznano pisarce Nagrodę Nobla. Laur wręczał jej Król Gustaw, dziadek dzisiejszego władcy.



Pearl Buck i Luise Rainer

W przemówieniu do Akademii laureatka mówiła o chińskiej powieści. Wyjaśniła: „Jestem Amerykanką z urodzenia i pochodzenia, ale moja najwcześniejsza wiedza o historii, o tym, jak opowiadać i pisać historie, przyszła do mnie w Chinach”. Po obszernym omówieniu klasycznych chińskich powieści, zwłaszcza „Romansu o trzech królestwach”, „Wszyscy ludzie są braćmi” i „Sen o czerwonej komnacie” - doszła do wniosku, że w Chinach „powieściopisarz nie miał za zadanie tworzyć sztuki, ale przemawiać do ludzi”. Zadanie powieściopisarza różni się od



Pearl Buck i król Szwecji Gustaw.



Buck poślubiła swojego wydawcę, Richarda J. Walsh (na zdjęciu), tego samego dnia, w którym rozwiodła się ze swoim pierwszym mężem.

Wschód i Zachód, które zajmowało się wymianą kulturalną pomiędzy Azją a krajami zachodu.

Po rewolucji komunistycznej w 1949 roku Buck wielokrotnie odmawiano wszelkich prób powrotu do Chin. Jej powieść „Szatan nigdy nie śpi” z 1962 roku opisała komunistyczną tyranie w Chinach. Podczas rewolucji kulturalnej Buck została potępiona jako „amerykański kulturowy imperialista”. Nawet kiedy w 1972 roku miała towarzyszyć Richardowi Nixonowi jako członek oficjalnej delegacji, nie pozwolono jej odwiedzić Chin. Pearl S. Buck zmarła na raka płuc 6 marca 1973 roku. Została pochowana w Green Hills Farm w Perkasiu w Pensylwanii. W zaprojektowanym przez nią nagrobku widnieją chińskie znaki 賽珍珠 (Sai Zhenzu).

zadania zachodniego artysty: „Wiernikom musi mówić o ich ziemi, starym mężczyznom o pokoju, starym kobietom o ich dzieciach”. W Chinach – mówiła – „nauczono mnie pisać dla tych ludzi”.

Noblistka była oburzona ówczesnym systemem adopcji dzieci, który uznawał dzieci pochodzące z Azji i te o mieszanym pochodzeniu etnicznym za nienadające się do adopcji. Razem z Jamesem A. Michenerem, Oscarem Hammersteinem II i jego drugą żoną Dorothy Hammerstein, założyła pierwszą międzynarodową i międzyrasową agencję adopcyjną.

Założyła również Fundację Pearl S. Buck Foundation, która miała na celu „zmierzenie się z biedą i dyskryminacją, które dotyczą dzieci w krajach azjatyckich”. W 1964 roku otworzyła Centrum Szans i Sierociniec w Korei Południowej, którego oddziały powstały potem w Tajlandii, na Filipinach i w Wietnamie. W 1942 roku

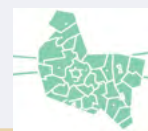
Pearl wraz ze swoim drugim mężem – Richardem Walshem, stworzyli Stowarzyszenie



Pearl Buck. 1972 r.

Małgorzata Jańczak

Materiały zdjęciowe: Internet



Witold Banach

Z nowego cyklu: *Kroniki literackie prowincji*

Rok 1918
Baran pożycza paszport Lampartowi,
czyli nieznaną wątek z życia sycylijskiego księcia

I.
Skromna fabuła

Pewnego letniego dnia gorącego lata 1920 roku – tak banalnie, niestety, musimy zacząć naszą opowieść – po powrocie z pracy w starostwie powiatowym Gustaw Bojanowski zastał w swoim domu szarą, wygniecioną kopertę, nieco większą i nieco grubszą niż zwykły list. Coś w niej się znajdowało, list przyszedł z dalekiej Italii. Przesyłkę podała mu matka, z którą po śmierci ojca przeprowadzili się z Krakowa do rodzinnej Wielkopolski i zamieszkali w kamienicy zakupionej w Ostrowie Poznańskim. Pytający wzrok matki po chwili potwierdziły jej słowa.

– Jakież to signore do ciebie napisał? – z uśmiechem dodała – Jak widać coś tobie przesłał.

Gustaw odwrócił kopertę, by spojrzeć na nadawcę, przeczytał długie nazwisko, ale szczerze mówiąc, nie był jeszcze pewien, czy chodzi o historię sprzed dwóch lat. Więcej mówiła mu pieczętka z miejsca nadania – Palermo. I data, z której wynikało, że list do niego został wysłany ponad miesiąc temu. Podeszedł do komody, na której leżała srebrna tacka, a na niej nóż do rozcinania papieru. Przeciął nim kopertę, matka zaciekawiona stała obok.

– To przecież nie od żadnej narzeczonej, chyba mogę wiedzieć? – matka Gustawa sama sobie przytakiwała, nie czekając na reakcję syna.

– Oczywiście mam, nie mam narzeczonej na Sycylii. Może i szkoda.

– Może i szkoda – pokiwała matka głową. Jej syn miał trzydzieści jeden lat i jak na razie nie zanosilo się na ożenek. Chociaż miała dla niego upatrzoną kandydatkę, tutaj, na miejscu. Nie we Włoszech. Zresztą dla drugiego syna, o cztery lata starszego od Gustawa, również. Adresat przesyłki wyjął z koperty książeczkę owiniętą w list napisany po francusku. Książeczka okazała się paszportem, który otworzył, przekartkował. To był jego paszport.

– To twój paszport? Skąd się wziął, skąd się wziął w Italii? Kto ci go przysłał?

Gustaw zastanawiał się, czy jego matka zna historię, która doprowadziła do dzisiejszej przesyłki i uświadomił sobie, że dopóki trwała Wielka Wojna nie mógł jej opowiedzieć poznańskiego epizodu sprzed dwóch lat. Tak, matka nie znała tej historii. Później nastąpiła niepodległa Polska, on został pracownikiem starostwa powiatowego. Nie było okazji do rozmowy na temat dość niecodziennej przygody pana Gustawa. Najpierw lepiej było dochować tajemnicy, nie ujawniać sekretu nawet najbliższemu, później były ważniejsze sprawy, które przysłoniły niezwykle epizod, który owszem był, pojawił się, lecz historia nie nadała mu dalszego ciągu. Pochłonięty pracą w starostwie, które od wiosny 1919 roku intensywnie polonizowano, właściwie zapomniał o sprawie.

Po traktacie wersalskim nasiliła się akcja optowania za Polską lub Niemcami. Z miasta wyjeżdżali dawni urzędnicy magistratu i landratury, nauczyciele, sędziowie i zwykli mieszkańcy. Zostali ludzie majątni i bardziej zakorzenieni w Ostrowie, jak Hirsch, właściciel miejscowego browaru, który już w trzecim pokoleniu władał marką stworzoną w tym mieście. Został szlachetny doktor Hugon Krug, na którego Polacy złego słowa nie mogli powiedzieć. Do miasta przybywali nauczyciele z Galicji, z dyplomami polskich uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie. Przejmowali germanizowane od dziesięcioleci szkolnictwo. Przybywali Polacy z głębi Niemiec, z Berlina, Hamburga, z Nadrenii, czasami likwidowali dobrze prosperujące w Rzeszy interesy. W dwudziestym roku trwała wymiana ludności, wspierano też pobliski Śląsk w walce o włączenie go do odrodzonej Polski, a później nastąpiła kulminacja.

W chwili zagrożenia Warszawy, w miasteczku pojawiły się jednostki zapasowe. W niedalekich Skalmierzycach formowano dywizję białych, którzy mieli stanąć do walki o inną Rosję. Jednak zachowanie żołnierzy i oficerów nie wróżyło dobrze. Do starostwa dochodziły skargi na wywoływane przez Rosjan burdy, pijaństwo, kradzieże. Kiedy wydawało się, że stolica ledwie odrodzonej ojczyzny może stać się ofiarą bezpośredniego ataku bolszewickiej hordy, w czym mógł utwierdzać fakt, że poza nuncjuszem apostolskim, wszystkie przedstawicielstwa dyplomatyczne opuściły Warszawę, udając się do Krakowa lub Poznania, a w Ostrowie na kilka tygodni usadowił się emigrancki Komitet Rosyjski. Pan Gustaw dowiedział się, że w zamieszkanym przez niego miasteczku pojawił się nawet jakiś bardzo znany pisarz rosyjski, Dymitr Mereżkowski. Nic nie czytał tego autora, zajęty własną twórczością. Marzył o osobistej karierze literackiej, sławie, a może i pieniądzech, którymi nie należało gardzić, będąc przedstawicielem zacnej, ale zubożałej grupy ziemian mieszkających w Ostrowie. W kulminacyjnych dniach wojny wyczekiwał na egzemplarz swojej debiutanckiej powieści *Banknoty Marjanki*. To były sprawy, które zaprzętały jego uwagę. Właściwie zapomniał o poznańskim spotkaniu z włoskim jeńcem, nawet nie był pewien, czy było to w czerwcu, czy w maju?

Tak, nigdy nie rozmawiał z matką o swojej poznańskiej przygodzie pozbawiającej go dokumentu, który teraz wrócił do jego rąk. Jakby zdawał sobie sprawę, że paszport cesarstwa niemieckiego za chwilę będzie mu niepotrzebny. Należał przecież do optymistów, wiedział o planie prezydenta Wilsona. Ach, i nawet teraz sobie przypominał, jak podczas poznańskiej rozmowy u Niegolewskich ktoś już nawet wiedział, że parlamenty Anglii, Francji, Włoch ogłosiły deklaracje w sprawie niepodległości Polski. Rozmawiali o tym z włoskim księciem, czyli zdarzenie musiało mieć miejsce w czerwcu.

A teraz usiedli z matką przy stole w jadalni. Gustaw nie zaglądał jeszcze do listu. Kartkował swój paszport, w którym przecież nie było niczego, czego by o sobie nie wiedział. Zwykły dokument, a trzymał go z jakąś – można by nawet rzec – czułością. To była historia nieco tajemnicza, polityczna, sensacyjna, która dzisiaj zatoczyła krąg i teraz przekroczyła próg jego domu. Nie wiedział, że będzie miała finał, że trafi do niego dokument dzisiaj bezużyteczny. Prawie od dwóch lat był obywatelem odrodzonego państwa wydającego własne paszporty.

– No powiedz wreszcie! – niecierpliwe i z naciskiem zapytała matka.

Gustaw wziął do ręki list, który zajmował ledwie stronicę. Był napisany w dość grzecznościowej formie, bez wylewności. Tyle wnioskował po powierzchownym spojrzeniu, nie po uważnym przeczytaniu.

– Pamiętasz mamó, że byłem kilka razy w czasie wojny w Poznaniu, również u państwa Niegolewskich.

– Ależ tak, oczywiście, przecież panny Niegolewskie...

– Wiem, wiem mamó, jakie masz wobec nich zamiary. W czasie wojny byli w Poznaniu

jeńcy francuscy, co mnie nie zdziwiło. Okazało się jednak, że trafiła tam również niewielka grupka Włochów, a to mnie trochę zaskoczyło. Skąd rodacy Pucciniego wzięli się w Poznaniu? Francuzi owszem, domyślałem się, skąd się wzięli. Znad Marny, spod Paryża, z Belgii, z frontu zachodniego. Ale skąd u licha w Poznaniu wzięli się Włosi, którzy walczyli z Austriakami? Tymczasem u państwa Niegolewskich podczas jednej z moich wizyt pojawił się jakiś włoski książę, oficer artylerii, jak się okazało. Był jeńcem, ale na słowo honoru mógł wychodzić do miasta, podobnie jak inni oficerowie francuscy. Gustaw zaobserwował na twarzy matki zainteresowanie, ale jednocześnie zniecierpliwienie.

– No dobrze, ale co to może mieć wspólnego z twoim paszportem z czasów zaborów, który teraz został ci przysłany aż z Palermo?

– To ma bardzo dużo wspólnego mamó. Ów książę, który rzecz jasna mówił po włosku i francusku, ale również bardzo dobrze po niemiecku, ponieważ jego przodkowie – jak nam wyjaśnił – sprzyjali sojuszowi z Austrią, opowiedział swoją historię. Był oficerem artylerii, uczestniczył w wielkiej bitwie pod Caporetto. Włosi przegrali tę bitwę, tysiące żołnierzy zginęło lub zostało rannych. Wielu niemiłosiernie okaleczonych. Podobno do niewoli dostało się trzysta tysięcy żołnierzy! Jego jednostka wbijała się klinem w pozycje nieprzyjaciela, była najbardziej wysunięta na zachód i też bardzo ucierpiała podczas wypadu austriackiego z Trentino. W trakcie walk Włosi przeszli do kontrataku, podczas którego książę został ranny i stracił przytomność. W takim stanie Austriacy zabrali go do niewoli, a towarzysze broni myśleli, że zginął na polu chwały.

– Ciągle nie wiem do czego zmierzasz, mój Guciu – matka rzadko się tak zwracała do dorosłego syna, ale użycie zdrobnienia (wiedziała, że syn tego nie lubił) wyrażało zniecierpliwienie, albo lekką irytację, co w sumie wychodziło na jedno.

– Chcę ci mamó całą historię w miarę dokładnie opowiedzieć. Przynajmniej tak, jak ją zapamiętałem. Otóż książę Giuseppe, jego imię zapamiętałem, nazwisko przypomniała mi dopiero koperta... Otóż dopiero po jakimś czasie jego rodzina dowiedziała się, że jest jeńcem wojennym. Trafił do jakiegoś obozu jenieckiego na Węgrzech, tak przypominałem sobie nazwę – Szombathely. Mówił, że był tam bardzo dobrze traktowany. Korespondował z rodziną, dostawał paczki, najbliżsi wysłali mu rakiety tenisowe i piłki, dzięki czemu mógł nawet podczas niewoli grać w tenisa. Nie wiem, czy to były częste przypadki. Ale ta sielankowa niewola nie wyleczyła księcia z pragnienia ucieczki. Zaplanowali ją razem z przyjacielem. Przekupili strażnika, który jakimś cudem skombinował im mundury austriackie i kupił bilety na pociąg do granicy ze Szwajcarią. Niestety, na granicy zostali złapani. Z początku potraktowano ich dość brutalnie, ale nie dlatego, że byli uciekinierami, tylko dlatego, że uznano ich za austriackich dezertersów. Doskonały niemiecki, jakim książę władał, przez chwilę mógł się okazać niebezpieczną pułapką. Służby graniczne złagodniały, gdy już zorientowały się, że mają do czynienia z włoskimi jeńcami. On i jego przyjaciel musieli zwrócić pieniądze za austriackie mundury. To była cała ich kara. No może jeszcze to, że książę nie trafił ponownie na ziemię węgierską, tylko został odtransportowany na terytorium Rzeszy, czyli wtedy do naszego Poznania. Stąd było dużo dalej do granicy ze Szwajcarią i jak się chyba spodziewano, ucieczka była na tyle trudna, że praktycznie niemożliwa. Jego przyjaciela wysłano w inne miejsce, nie wiedział dokąd.

Matka Gustawa jeszcze nie zdawała sobie dokładnie sprawy z dalszego przebiegu wypadków, ale domyślała się już, że paszport jej syna odegrał w tej historii jakąś rolę.

– Pomogłem mu w ponownej ucieczce. Ja z początku nie zauważyłem tego, co nagle wypowiedział ktoś z rodziny Niegolewskich, że ja i włoski książę jesteśmy bardzo do siebie

podobni. A poza tym, jak się okazało, on był tylko kilka lat młodszy ode mnie. Mogliśmy uchodzić za rówieśników. Pamiętam, jak stary pan Niegolewski powiedział, żebyśmy stanęli obok siebie przed lustrem w ich korytarzu i wszystkich nas uderzyło nasze podobieństwo. Naprawdę, jak byśmy byli braćmi. To było niesamowite.

– I wtedy dałeś mu swój paszport, żeby mógł uciec?

– Nie od razu, nie miałem go wtedy przy sobie. Uzgodniliśmy plan, że dam mu swój paszport, załatwimy mu cywilne ubranie, pojedzie w stronę Szwajcarii i tam normalnie na podstawie mojego paszportu przejdzie granicę jako obywatel cesarstwa niemieckiego. On mówił świetnie po niemiecku, a nawet gdyby wydawał się komuś podejrzany, ktoś zwróciłby uwagę na jego akcent, mógł powiedzieć, że pochodzi z polskiej rodziny, o czym mogło świadczyć nazwisko wpisane w paszporcie. A fotografia, to mnie najbardziej zdumiewało, nie mogła budzić podejrzeń.

– I co się stało później?

– Dwa tygodnie po tym ponownie przyjechałem do Poznania, tym razem już z moim paszportem. Wtedy widzieliśmy się ostatni raz.

– Nigdy więcej się nie spotkaliście?

– Wiem od Niegolewskich, że później pojawił się u nich jeszcze raz, tylko pożegnać się i więcej już go nie zobaczyli. Więcej o nim nie usłyszeliśmy, to już było lato 1918 roku, kilka miesięcy później skończyła się wojna. I właśnie dowiedzieliśmy się, że jego ucieczka się udała. Ja zapomniałem o tej historii, tym bardziej, że wkrótce mój pruski paszport nie był mi już do niczego potrzebny. Staliśmy się obywatelami odrodzonej Polski. A dzisiaj, kiedy waży się nasza niepodległość, przyszedł ten list. To jakiś znak mam, który mówi nam, że wygramy tę wojnę, że Polska obroni swoją niepodległość. A teraz przeczytam ci jego list.

II.

Suche fakty

W nocie biograficznej zamieszczonej w PIW-owskim wydaniu *Lamparta* znajdujemy taką oto bardzo frapującą informację dotyczącą autora słynnej powieści:

Mając lat dwadzieścia uczestniczył w pierwszej wojnie światowej; wzięty do niewoli, przebywał jakiś czas w obozie jeńców w Poznaniu. Po dwukrotnej próbie udało mu się zbiec; wrócił do Włoch, przemierzając pieszo Europę¹.

Jako osoba bardzo zainteresowana wszelkimi związkami pisarzy z moim rodzinnym miastem, ale i Wielkopolską, byłem wielce poruszony tym fragmentem. Niestety, w chwili lektury (początek XXI wieku) żadnych informacji poszerzających ten wątek nie znalazłem. Ucieszyło mnie to, co napisał o księciu Lampedusie Gustaw Herling-Grudziński, trochę zdziwiło, że autor moich ulubionych *Dzienników*, Sandora Márai - człowieka, który napisał arcydzieło, uważał za amatora. A przecież ten węgierski pisarz niezłomny, napisał również, że nie ma wielkich pisarzy, są tylko wielkie dzieła. Jak zrozumiałem wtedy, to one hierarchizują, czy ktoś ma szansę wejścia do historii literatury. Nie ma znaczenia napisanie kilkunastu lub kilkudziesięciu średnio dobrych książek.

Kilka lat po mojej lekturze *Lamparta* na polskim rynku ukazała się wreszcie biografia jej autora². Znakomicie napisana, z wyczuciem i empatią, z wielkim zrozumieniem dla tragicznego losu literackiego geniusza, który nie tylko nie doczekał się należytej mu sławy, ale nawet

¹ J. Gałuszka, Nota biograficzna, [w:] T. di Lampedusa, *Lampart* (przekł. Z. Ernstowa), Warszawa 1967, s. 313.

wydania arcydzieła w formie wydrukowanej książki. Okoliczności ucieczki, a przede wszystkim miejsce uwięzienia Lampedusy zostały dość szczegółowo przedstawione przez brytyjskiego biografę. Niestety, nie ma w nich mowy o Poznaniu. Lampedusa znalazł się wśród dwustu sześćdziesięciu pięciu tysięcy jeńców włoskich wziętych do niewoli w bitwie pod Caporetto (toczyła się między 24 października a 1 grudnia 1917 roku) przez armie niemiecką i austro-węgierską. Księcia bardzo dobrze traktowano, co jeńiec przypisywał książęcej koronie wyhaftowanej na jego koszuli. Swoje znaczenie miała też jego doskonała znajomość języka niemieckiego. Jak wspominał w listach, nikt z napotkanych przez niego osób nie zorientował się, że jest Włochem. Do niewoli transportowali go Austriacy, którzy pozwolili księciu po drodze zwiedzić Wiedeń, pod warunkiem, że nie podejmie próby ucieczki. Ostatecznie trafił do obozu jenieckiego na Węgrzech. Obiecał nie uciekać w Wiedniu, ale nie obiecał z innego miejsca...

*Życie w obozie jenieckim w Szombathely na Węgrzech okazało się dość znośne i Giuseppe mógł otrzymywać listy i paczki od krewnych z Sycylii; wysłali mu nawet rakiety i piłki tenisowe*³.

W tak sprzyjających okolicznościach nie należy się dziwić, że Lampedusa z jednym z współwięźniów przekupili strażnika, który zorganizował im dwa austriackie mundury i bilety kolejowe do granicy ze Szwajcarią. Ucieczka przebiegała pomyślnie aż do granicy, gdzie ich złapano, podejrzewając o dezercję. Gdy okazało się, że są „tylko” jeńcami podejmującymi próbę ucieczki, ukarano ich jedynie pokryciem kosztów skombinowanych mundurów austriackich i odesłano do obozu. Kilka miesięcy później Giuseppe Tomasi di Lampedusa podjął ponowną, tym razem udaną, próbę ucieczki.

Przejęty i jednocześnie rozczarowany pominięciem Poznania w bujnym życiorysie autora Lamparta, skorzystałem z adresu mailowego strony autorskiej Gilmoura, prosząc biografę o odniesienie się do wątku poznańskiego. Niestety, nie otrzymałem odpowiedzi.

Nadal nie wiem, skąd wziął się Poznań w notce Jadwigi Gałuszki, a przede wszystkim owa historia pieszej wędrówki przez kawałek Europy. To, co powtarza się u autorki polskiej i Gilmoura, to fakt powtórnej, dopiero wtedy udanej ucieczki. Zatem przynajmniej część przekazu z pierwszego polskiego wydania Lamparta była prawdziwa. Także w wydanej w 2021 roku monumentalnej czterotomowej historii Poznania autorstwa profesora Uniwersytetu Adama Mickiewicza Przemysław Matusika, wątek niezwykłego jeńca został podjęty i niestety – dla moich oczekiwań – negatywnie rozstrzygnięty. Ale... Wiemy chociaż, że włoscy jeńcy znajdowali się w Poznaniu, a w przypisie profesor Matusik użył formułki „nie wydaje się to możliwe w świetle ustaleń D. Gilmoura”⁴, czyli historyk Grodu Przemysław też zostawił furtkę lekko uchyloną...

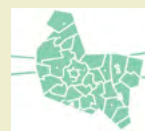
Lektura biografii *Ostatniego Lamparta* wprawdzie odebrała mi wątek poznański, ale dała coś innego – im bardziej czytywałem się w los włoskiego pisarza, tym bardziej nasuwały mi się niezwykle analogie z moim lokalnym pisarzem, którym zajmowałem się od ponad dwudziestu lat. Ale to zupełnie inna historia...

Witold Banach

² D. Gilmour, *Ostatni Lampart. Życie Giuseppe Tomasi di Lampedusy* (przeł. A. Wójcicka), Warszawa 2009. Pierwsze wydanie książki ukazało się nakładem nowojorskiego wydawcy Pantheon Books w 1988 roku.

³ Tamże, s. 49.

⁴ P. Matusik, *Historia Poznania*, t. II, 1793-1918, Poznań 2021, s. 314.



Adam Wiśniewski

Apoftegmat

»Przemów, abym cię mógł zobaczyć« (Sokrates)

Dowiedzmy się, co skrywa zawile dla języka pojęcie »apoftegmat« w skarbnicy wiedzy, jaką jest Internet. Słownik Języka Polskiego PWN definiuje to pojęcie najbardziej zwięźle ze wszystkich źródeł. Apoftegmat to „krótka anegdota lub powiedzenie, zręcznie dostosowane do okoliczności”. Czyżby mogło być nim i przekleństwo, które zdaje się być zawsze punktualne? Równie krótko pojęcie to zdefiniowane jest w „Encyklopedii staropolskiej”, według której „po grecku apophthegma, to krótkie, jędrne zdanie, myśl wypowiedziana w kilku słowach przez znakomitego człowieka”. Z portalu Wikipedia.org. dowiemy się, że „apoftegmat (gr. apóphthegma, ~matos - sentencja, wypowiedź) to krótki utwór literacki, wierszowany lub prozatorski, prezentujący dowcipną, błyskotliwą, trafną wypowiedź wybitnej postaci (np. władcy)”. Portal booknieci.pl tak je opisuje: „słowo apoftegmat wywodzi się z języka greckiego, a dokładniej z połączenia wyrazów apóphthegma i matos, które oznaczają istotną wypowiedź lub ważną sentencję. Apoftegmat to zatem krótki utwór literacki, ukazujący trafną i błyskotliwą maksymę znanej osobistości, ten może być pisany prozą lub w wypowiedź przedstawiona jest w konkretnej sytuacji”.

Powyższe definicje iden- a mianowicie: zdanie wybitnej powieści, wpisanej w konkretny cech omówię szerzej i głębiej w

A

np. władcy lub polityka. Utwór formie wierszowanej. Najczęściej formie, która idealnie pasuje do

tyfikują trzy podstawowe cechy, osoby, ujęte w zwięzłej celnej wy- czas i okoliczności. Każdą z tych dalszej części eseju.

Czas, by przyjrzeć się genezie powstania tej oryginalnej, mistrzowskiej formy wypowiedzi. Etymologicznie rzecz ujmując, apophthegma (przedrostek *ἀπο-* plus rzeczownik *φθέγγομαι*) sugeruje zarówno znaczenie: „wypowiedź”, „powiedzenie”, jak i odmienny sens - „riposta”. „Większość starożytnych apoftegmatów cytowanych jest właśnie głównie w funkcji bystrych powiedzeń przywoływanych w kontekście krótkich opowiadań, przy czym ów kontekst ma znaczenie ewidentnie wtórne” - pisze prof. Justyna Dąbkowska-Kujko z Instytutu Filologii Polskiej KUL w swojej arcyciekawej pracy „Dawny apoftegmat. Między historią, retoryką a filozofią”. [Powyższy esej - z małymi wyjątkami, oparto na obszernych cytatach ze wskazanej publikacji]. Najwcześniejsze użycie i rozumienie terminu apoftegmat znaleźć można u Ksenofonta, a potem Arystotelesa. Na kolekcje lakońskich powiedzeń powoływał się on w „Retoryce” - musiały więc już istnieć za jego czasów - przyznając im dużą wartość intelektualną oraz moc urabiania moralnych postaw. Ówczesni wyraźnie pojmowali go jako bystre powiedzenie, którego trafność polega na najwyższym stopniu uwrażliwienia na specyficzny kontekst; a zatem chodzi o odpowiedź pojętą jako reakcja na zaistniałe zdarzenie bądź

usłyszane słowa czy o swego rodzaju sumację opisaną sytuacją. Słowna prezentacja mądrości jawi się dziś jako zasadniczy fenomen greckiej kultury, a apoftegmat jest jej najdobitniejszym wyrazem; wyznaczywszy dość niewielki obszar pragmatyce jednostkowych działań, gatunek ów w planie pierwszym sytuuje znakomite powiedzenia, charakterystyczne wypowiedzi *egregie dicta*. Jest to jedna z najstarszych i zarazem najbardziej powszechnych (obok przysłów, maksym, gnom, sentencji, anegdot i aforyzmów) genologicznych form „sapiencjalnych”, która w zewnętrznej prostocie przekazu, czasem w żartobliwej dykcji, w stylu „niskim” acz wytwornym, znalazła metodę wyrażania i recytowania nierzadko najwznioślejszych etycznie treści. Jest to zarazem jeden z chętniej wykorzystywanych gatunków literatury filozoficznej. Apoftegmaty, na ogół imiennie przypisywane znanym osobistościom, gromadzono w zamkniętych zbiorach, będących rejestrem zwięzłych, trafnych i błyskotliwych wyrażen; wykorzystywano je też w innych formach piśmiennictwa, zwykle o silnym dydaktycznym i wychowawczym nacechowaniu, np. w funkcji egzemplarycznej jako ogniwo w retorycznym procesie argumentacji. W przeciwieństwie jednak do wyżej wymienionych form pokrewnych gatunek ów nie jest narzędziem przekazywania mądrości powszechnej, tradycyjnej, środowiskowo nieraz warunkowanej, którą odbiorca w pewnym sensie podziela z autorem. Mądrość apoftegmatu to mądrość - by tak się wyrazić - nacechowana indywidualizmem, wyrażona bystro i kreatywnie w celu przekazania mniej lub bardziej ważnych treści prowokowanych sposobną chwilą. Znany jest fakt, iż to Grecy w szczególności przyczynili się do stworzenia rozległej tradycji kumulowania i przechowywania sądów oraz powiedzeń sławnych jednostek, składanych następnie w zbiorowej pamięci i przekazywanych przez wieki ustnie, zanim w erze poklasycznej powstały bardziej uporządkowane rejestry tego rodzaju literatury. Rzymianie, podzielając upodobanie do owych form, stają się nie tylko dziedzicami tradycji apoftegmacyjnej, ale także jej

I tak z dzieł Kwintyliana i miał kolekcję apoftegmatów ze z przekazu Cyserona oraz świątackie zbiory gromadził również dojścia kolekcjonerskiej fascynacji *Factorum et dictorum memorabilium*, drugiego po Plutarchu przez europejskich humanistów, nowożytną konwencję *exemplum virtutum*, charakterystyczną dla moralizującej retoryki wszystkich zresztą czasów. W dziele Waleriusza jednak apoftegmat spleciony jest już wyrażenie z anegdotą, ukierunkowany jest na narrację, stając się domeną zarazem czynów i słów jako świadectwem zrealizowanej etyki.

Autorytet apoftegmatu wyrósł z podłoża greckiej myśli retorycznej i filozoficznej, w szczególny sposób dowartościowującej słowo oraz siłę jego oddziaływania i wszelkie formy werbalnej prezentacji mądrości, z bystrymi powiedzeniami na czele. Autorami ich były znaczące indywidualności, artykułujące je w jakimś niespodziewanym czy ważnym, z nagłą się zdarzającym momencie, tj. w czasie, dla którego Grecy znaleźli specjalne określenie - *kairós* (gr. καιρός). Jest to kategoria czasu, w najprostszym ujęciu oznaczająca stosowny moment lub okazję. Z filozoficznego zaś punktu widzenia określa ona krótką, szybką, ulotną czy doniosłą chwilę; jest pojęciem odsyłającym do czasu (w przeciwieństwie do kategorii *chronos*, gr. χρόνος) niepoliczalnego i niemierzalnego, obejmującego udział jednostek i zdarzeń. *Kairós* to więc czas pojawiający się jako swego rodzaju wyłom czy pęknięcie na linii innej kategorii

godnymi kontynuatorami.

Makrobiusza wiemy, że Cyseron brał w trzech tomach; z kolei *de vita* Swetoniusza wynika, że Gajusz Cezar. Literackim punktem Rzymian tym gatunkiem jest zbiór *libri novem* Waleriusza Mak- autora chętnie wykorzystywanego konstytuującego wraz z Grekiem

B

- chronos; to czas, którego - zauważa Krzysztof Bielawski - „linearność, ciągłość i prostota uległy jakiemuś zaburzeniu i tym samym zyskały walor wyjątkowości, niezwykłości i niepowtarzalności. To kairos jest tym czasem, który nadchodzi; równocześnie nigdy nie powraca”.

Apoftegmat jawi się jako gatunek szczególny, będący świadectwem eksplozji kairos. Utrwała on bowiem jednostkową, bystro wyartykułowaną i silnie zindywidualizowaną reakcję słowną na sytuację zaistniałą w czasie, pojętym właśnie jako mgnienie, chwila charakteryzująca się jakąś wyjątkową cechą, pozwalającą na wyodrębnienie jej z monotonii czasu linearnego. Apoftegmat to forma prezentująca jednostki wyróżniające się darem rozpoznawania swych „kairosów”; to gatunek nimi kipiący; zupełnie wyjątkowy, bo akcentując celność, zwięzłość i błyskotliwość reakcji słownych, dowartościowuje perfekcyjne wyczucie wobec bieżących okoliczności. Wiara w autorytarną moc słowa (logos), zarówno w retoryce, jak i w obszarze filozofii oraz literatury antycznej była tak powszechnie dzielona i akceptowana, że nie wymagała jakichś osobnych deklaracji, uzasadnień czy obrony. Dość przypomnieć, że sami sofisci, przyznający słowu szczególną siłę, chętnie porównywali retorykę do sztuki walki (zob. świadectwo Platona w „Gorgiasz”), umożliwiającej zwycięstwo w specyficznym pojętym politycznym, sądowym czy prywatnym „agonie na słowa”.

Gorgiasz z Leontinoi w „Pochwale Heleny” wyrażał przekonanie, że w logosie upatrywać należy „wielkiego mocarza”, który swoim niedającym się zobaczyć ciałem wpływa na ludzi, urabiając ich sądy; był on nawet pewien, że moc słowa jest tak wielka, iż da się ją zrównać z przemocą fizyczną. Inny sofista, Protagoras z Abdery, został uznany przez Diogeneza Laertiosa za tego, który jako pierwszy w retoryce „wyłożył moc kairos”, dowodząc, iż od okoliczności zależy, czy dany pogląd jest (pragmatycznie bądź relatywnie) prawdziwy, czy też nie. Platon zaś w „Gorgiaszu” pisał, że retoryka jest najwyższą ze sztuk. Nie dysponujemy dziś wieloma materiałami konstytuującymi jego genologicznie należy wypowiedź Plutarcha, którego rodzaju kolekcji, wyakcentował wstępnie do swego zbioru „Powiastkach kierowanych do rzymskiego wiążących do tego, co Platon w tesa na temat kultury lakońskiej, tj. zwięzłych i celnych sformułowań, camy okazało się siedmiu mędrców greckich. Koncepcja kairos znana była zatem starożytnej retoryce. W szczególności odwoływał się do niej Gorgiasz, choć w ogóle była chętnie wykorzystywana w sofistyce greckiej. Miała się ona wyrażać w dostosowaniu mowy do okoliczności. Gorgiasz sądził, że „skuteczność retoryczna polega na mówieniu odpowiednich rzeczy w odpowiednim momencie (*kairos*), dlatego niektórzy twierdzą, że był on pierwszym mistrzem relatywistycznej etyki sytuacyjnej, która nie ma nic wspólnego z etyką normatywną opartą na niepodważalnych zasadach. Uważał, że skuteczność człowieka wynika z umiejętności dostosowania się do sytuacji i wymagań chwili. Tę umiejętność musi posiadać każdy dobry mówca”.

Największe zbiory słynnych sentencji i życiowych dewiz spisał żyjący w połowie I w. n.e. rzymski pisarz Waleriusz Maksymus. Jego dzieło nosiło tytuł „Factorum et dictorum memorabiliorum libri IX”, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „Czynny i powiedzenia godne pamięci”. Utwór powstał na cześć panującego wówczas cesarza Tyberiusza. Innym znanym autorem apoftegmatów w czasach starożytnych był Plutarch. W swoim najśłynniejszym dzie-

le „Apoftegmaty królów i wodzów” zgromadził powiedzenia oraz motta życiowe polityków greckich i rzymskich oraz wypowiedzi władców z terenów Barbaricum. Inne jego dzieło - „Apoftegmaty lakońskie” stanowi niezastąpione źródło wiedzy historycznej. Uwiecznione w nim zostały zwyczaje oraz sposób myślenia obywateli Sparty.

Najbardziej znany apoftegmat powstał ok. VI w. w Egipcie. „Apoftegmaty ojców pustyni” to grecki zbiór zawierający imiona i sentencje mnichów i ascetów z IV i V w. Jednym z nich był żyjących na pustyni egipskiej święty abba Antoni. Przy każdym imieniu autor uwzględnił znane powiedzenia, czyli logoi, oraz czyny erga. Spis został stworzony przez nieznanego autora, prawdopodobnie mnicha, który korzystał z dostępnych już źródeł oraz przekazów ustnych.

Utwór ceniony jest szczególnie za wielką wartość historyczną, odegrał istotną rolę w monastycyzmie (kult religijny, dążenie do samorealizacji przez czystość duchową, ubóstwo, umartwianie się, modlitwę, kontemplację, medytację jako pierwowzór cnót i pobożności - wikipedia.org).

Największa popularność tych utworów przypada na okres renesansu (XV-XVI w.). Najbardziej znane w owym czasie apoftegmaty tworzył Erazm z Rotterdamu autor sławnego *Apophthegmata*. Jego pisma są namacalnym śladem utrwalania takiej oralnej tradycji epickich recytacji czy odtwarzania jej ze świadectw bardziej zamierzchłej przeszłości. Podczas gdy jednak ta odległa przeszłość, wraz z jej legitymizacją mitu i heroicznymi legend, mogła cieszyć się najwyższym prestiżem i leżeć wyłącznie w sferze podziwu niedosiężnej naśladownictwu, źródłowo dająca się udokumentować era historyczna oferowała paradygmatyczne egzemplarze - bliskie i użyteczne w procesie modelowania codziennych obyczajów. W tym ostatnim przypadku apoftegmat stawał się przedmiotem cytatów i przekształceń bądź obiektem wielokrotnych wykorzystania, zbliżał się tym samym w swej funkcji do gnomy, maksymy czy przysłowia, jak ma to miejsce w odniesieniu do wielu ływanych w dziele Laertiosa. Za- może posłużyć jako argument, pozostaje różna od wymienionych

Apoftegmata stanowią nie- rycznej. Przybliżają sposób my- ich priorytety i sposób postrzega- utrwalono postacie słynnych osób, chrześcijan stanowiły wzór cnót, prawdziwie pobożny.

D

apoftegmatów filozofów, przywo- razem jednak fakt owych zbliżeń że pierwotna natura apoftegmatu gatunków „sapiencjalnych”.

ocenione źródło wiedzy histo- ślenia ówczesnie żyjących ludzi, nia rzeczywistości. Dzięki nim m. in. władców i polityków. Dla jakie powinien posiadać człowiek

Badania przeprowadzone przez współczesnych uczonych nad użyciem tego terminu na przestrzeni wielu stuleci uświadamiają jednak, że w starożytnej Grecji termin apophthegma zawierał pewną dwuznaczność, stopniowo zmieniając swoje semantyczne centrum. Wiele bowiem wskazuje, że pierwotnie oznaczał on właśnie ripostę, a więc ważny był dla niego kontekst, z którego wywodziło się powiedzenie. Z czasem dopiero znaczenie terminu przesunęło się w kierunku bardziej ogólnego pojęcia „rzeczenie”, przez co apoftegmat stał się synonimem sentencji, maksymy bądź gnomy (tak już w dziele Diogenesa Laertiosa). Ostatecznie powstało znaczenie terminu najbardziej chyba oddalone od pierwotnego sensu, apoftegmat bowiem stał się zaledwie odpowiednikiem anegdoty, dowcipnej historyjki, facecji, co zresztą znajduje swoje racjonalne uzasadnienie w fakcie, iż z natury był on osadzony w krótkiej historii.

Tak też rozumieli go staropolscy pisarze renesansowi, spadkobiercy włoskich zwłaszcza tradycji facecjonistycznych, na czele z Łukaszem Górnickim, parafrazującym w 1566 roku

Castiglionowego Il Cortegiano. Z pewnością również Rej („Figliki”, 1562 oraz „Apoftegmata”, 1568) i Kochanowski („Apoftegmata”, 1590) Bieniasz Budny („Krótkie a węzłowate powieści, które po grecku zowią Apophtegmata”, 1637) czy Wacław Potocki łączyli go z krótkim opowiadaniem. „Jan Maj w swoich „Kalendarzykach” z lat 1802-1804 pomieścił sporo „Apoftegmatów dawnych Polaków“. Ostatni wreszcie, Ambroży Grabowski z Hieronimem Juszyńskim, wydali w Krakowie r. 1819 „Krótkie przypowieści dawnych Polaków czyli apophthegmata, anegdota, odpowiedzi dowcipne i ucinki satyryczne, zdania moralne, opisy i porównania piękne i t. p., z rzadkich dzieł i rękopisów ojczystych zebrane“. W książce tej o 146 stronicach jest kilkaset opowieści historycznych i anegdot z wyrażeniami ludzi głośnych, a wydawca, uczony księgarz Ambroży Grabowski, w przedmowie do „narodowej publiczności“, wydanie zbioru tego nazywa pierwszą swoją dla niej przysługą” (źródło: „Encyklopedia staropolska”). Wcześniej w literaturze polskiej apoftegmata pojawiły się wyłącznie jako elementy kazań.

Do najbardziej znanych kolekcji apoftegmata należą prace Plutarcha i Diogenesa Laertiosa. Do popularyzacji tego typu wypowiedzi przyczynił się jednak najbardziej Plutarch. „Powiedzenia królów i wodzów” oraz „Powiedzenia spartańskie” - dzieła chyba najintensywniej eksplorowane w dobie nowożytnej, skarbnica egzemplów zwłaszcza dla włoskich, niemieckich i niderlandzkich kompilatorów apoftegmata, facecji i sentencji. Plutarch wyjaśnia, że ethos (moralną postawę) i idee polityczne wielkich historycznych postaci najlepiej można rozpoznać i zrozumieć, analizując nie ich czyny, lecz wypowiedziane przez nich słowa. Ludzkie działania są wszakże powiązane z sytuacją zewnętrzną, ich rezultat - zależny od losu, podczas gdy słowa - niezdeterminowane, wolne od tego rodzaju koneksji - znajdują się pod pełną kontrolą człowieka i dlatego stanowią najbardziej wiarygodne świadectwo jego myśli oraz są miarodajnym znacznikiem skłonności i charakteru. Potrzebował Plutarch takiej koncepcji, by wyrazić swą zasadniczą tezę o świadomości, będącej własnością sprawności intelektualnej i niejako się wobec nieobliczalnej siły losu. nuuje Justyna Dąbkowska-Kujko, logicznej koncepcji (a chciałoby się logos przejmuje własności, które w były *virtus*. Ten optymistyczny w kontroli nad własnym językiem i zwierciadła duszy czy umysłu daje przesłanki wiodące do wyostrenia sensu filozoficznego, a zarazem rozpoznania psychologicznie pojętej kategorii *kairos* (jako okazji do ujawnienia szczególnego rodzaju mądrości, świadomości i trzeźwo bowiem artykułowanej w zwięzłych oraz trafnie wyrażonych słowach). Uprzytamnia zarazem, jak wielka jest skuteczność tak rozumianego języka oraz w jaki sposób można go użyć jako strategii czy raczej narzędzia społecznego istnienia człowieka - by tak powiedzieć - „poprzez mowę”. W II w. po Chrystusie rozumienie Plutarcha zdaje się być bliskie znaczeniu „riposta”, przeważająca bowiem większość przywołanych przez niego apoftegmata, to wypowiedzenia, których sens został wyprowadzony z kontekstu (nawet jeśli ów kontekst pełni „techniczną” rolę, jest więc wtórny). Jakkolwiek znaleźć tu już można kilka przykładów, w których miejsce żywej reakcji zajmuje po prostu wypowiedź lub słowna artykulacja jakichś stwierdzeń (postanowień, rozstrzygnięć). Są w końcu i cytaty, będące świadectwem znamiennej przesunięcia od tego, co zostało powiedziane przez jednostkę, w kierunku tego, co zostało opisane przez narratorkę, stąd należałoby właściwiej nazwać je anegdotami niż apoftegmata. Zawierają one bowiem już nie tyle godne pamięci

E

dotyczącą słowa wypowiedzanego człowieka, świadectwem jego jego obrazem, autonomizującego Zauważmy na marginesie, kontyże z punktu widzenia tej antropoteż rzecz - psycholingwistycznej) teoriach etycznych przypisywane istocie sąd na temat człowieczej języka jako probierza charakteru,

powiedzenia, ile raczej godne pamięci incydenty, opowiedziane w formie historii, kładące nacisk na czyny, historii mającej przeciw naturę raczej zdarzeniową niż słowną. Znaczyłoby to, że dla Plutarcha apoftegmatem może być zarówno bystra reakcja słowna domagająca się kontekstu, jak i „sapiencjalne” powiedzenie.

Mimo iż apoftegmata były swobodnie przytaczane przez pisarzy greckich, okazują się gatunkiem dość trudnym w procesie definiowania jego istotnych cech. Semantyczne parametry greckiego apoftegmatu nie będą wszakże pełne, jeśli nie uwzględnimy jeszcze jednego aspektu: gatunek ów bowiem doraźną sytuację nierzadko ujmował w ramy metaforycznego powiedzenia, wiodąc tym samym ku alegorii rozumianej jako mówienie obrazowe, zawierające jakąś ukrytą aluzję. Demetriusz w swych uwagach poświęconych stylowi, opisując rodzaj sądu, który określa jako alegorię, ilustruje swój wywód tymi samymi słowami Dionizjusza Starszego, których Arystoteles - przypisując je Stezychorosowi - użył w „Retoryce” do omówienia apoftegmatu, pojmowanego jako mowa podobna do lakońskiej, której sens z racji swej enigmatyczności domaga się wykładni. Wiele zatem wskazuje na to, że apoftegmata nie tylko dzielił się na dwie kategorie: dosłowny, artykułujący treści wprost, oraz alegoryczny, przenośny, wyrażający myśli w obrazowej formie zagadki, potrzebujący zatem swego rodzaju egzegezy, lecz również trwale i od początku - głównie ze względu na swą pełną znaczenia zwiąłość i trafność ujęć - zbliżał się do gnomy, sentencji i przysłowia, bądź wpleciony w narrację - przyjmował postać anegdoty.

To, co starożytni mówili o apoftegmatach jako formach fascynujących kompendialnością i głębią, urzekających dowcipem, objawianym w prędkich i celnych reakcjach na „dar okazji”, co mieli do powiedzenia o nich jako „załączkach filozofii” i „odpryskach” dawnej mądrości, dużo później Erazm rzekł również o adagiach i prowerbiach.

Zbiory apoftegmatów za „próbek i załączków żywotów”, będąc reakcją umysłu w tym wyjątkowym je się w kairos, świadectwem niewzwięzłej i trafnej formule, wizerunkiem intelektu i obrazem który poprzez słowo, głoszone godny podziwu, są galerią osoboszących się uznaniem; osobowości historii i biografii, filozofii i retoryki. Drogi te spotykają się właśnie w „sumarycznej” naturze apoftegmatu, gatunku zdającego się jednak wyraźnie marginalizować podmiotowy i czynny wymiar humanizmu, tak silnie akcentowany przez Cyncerona, Kwintyliana oraz stoików, na rzecz entuzjazmu dla dziedziny słów. Jeśli jednak zarazem przypomnimy sobie, że słowo traktowane jest tu w jego antropologicznej pełni, tj. w zgodzie z platońską teorią mowy, będącej obrazem osobowości, mowy mającej moc ujawniania ludzkiej natury, i z koncepcją myślenia jako rodzaju konwersacji człowieka z samym sobą, zrozumiemy, że tak pojęte słowo, będąc swego rodzaju ekstraktem duchowej sfery człowieka i dlatego niemal z nim identyczne, nabiera wymiaru podmiotowego; mając zaś moc przekształcania rzeczywistości i budowania międzyludzkich relacji, staje się niemal równorzędne wobec czynu, jeśli nie z nim tożsame.

F

tem jako „pierwocin filozofii” oraz dące wyrazem bystrej i trzeźwej momencie, kiedy chronos załamu-zwykłego daru artykulacji sądów wreszcie domeną ludzkiego ducha, wewnętrznej formacji człowieka, dogmaty konkretyzuje się jako wości znanych z przeszłości, ciewidzianych na skrzyżowaniu dróg

Animus in oratione relucet - pisał za antycznymi mistrzami Erazm w dziele „Lingua” i posłużył się Sokratesowym apoftegmatem, przywołując go oraz objaśniając jego sens za „Floridą” Apulejusza: Et in nobis animi speculum est oratio. Unde celebratur illud a Socrate dictum: »Loquere ut te videam«. Ad ductus erat adolescens elegante forma, ut ex aspectu col-

ligeret indolem. At ille non videbat adolescentem, donec taceret, quod non tam in vultu, quam in oratione reluceat animus. [„I u nas zwierciadłem duszy jest mowa. Stąd sławne jest owo powiedzenie Sokratesa: »Przemów, abym cię mógł zobaczyć«. Przyprawiono mu młodzieńca szlachetnej urody, aby z wyglądu ocenił jego charakter. Atoli on nie widział młodzieńca, póki ten milczał, bo dusza się odzwierciedla nie tyle w obliczu, ile w mowie”].

W przedmowie zaś, jaką opatrzył swoje „Apothegmata”, przy okazji pochwały etycznie profilowanego pisarstwa Plutarcha jako autora apoftegmatycznych kolekcji, Rotterdamczyk zauważał: Mają (...) apoftegmaty swoją własną metodę i własny swój charakter, polegający na tym, że krótko, zwięźle, dowcipnie i wytwornie wyrażają wewnętrzną naturę człowieka. Wyrażanie osobowości, krótkość oraz wytworny dowcip wskazane tu jako konstytutywne cechy gatunku, zostały ostatecznie przez humanistę podniesione do rzędu najwyższej wartości etycznej w słowach, przyznających greckiemu mistrzowi rangę „świętości”.

Apothegmat, będąc domeną słowa wyrażającego istotę ludzkiej natury, stał się gatunkiem uświadamiającym, jak bardzo mowa wpływa na intersubiektywne uzewnętrznianie się cech człowieka, a zastępując potrzebę pisania historii czy biografii, albo raczej - zwalniając z tej potrzeby, sam niemal stał się ich miniaturowym ekwiwalentem. Skoro bowiem wartość apoftegmatu jako gatunku literackiego wyraża się w jego zdolności stania się adekwatnym wizerunkiem osobowości, to trzeba zarazem zaznaczyć, że miał on wyrażać osobowość historyczną, nie zaś fikcyjną - mityczną bądź fantastyczną, miał odsyłać do konkretnie pojętego człowieka, nie zaś do abstrakcyjnych cnót, miał konstytuować egzemplum historyczne, nie topiczne. Spajając ze sobą to, co w wizerunku ludzkiego indywiduum - mimo jego uwarunkowania przez czas i otoczenie - stałe, mające charakter powszechny, z tym, co w nim prawdziwie zindywidualizowane, niepowtarzalne, wielorakie i zmienne, zbiory apoftegmatów sytuują się na pograniczu historii, biograpowiedzenia historycznie skon-

Gniając złożoną naturę osobowości, temie moralnym, stawały się jego znaczenie paradygmatu. Inaczej ma, w której zmienna i złożona zofii moralnej konstytuuje się jako wokowane okazją incydentalne swoiste egzemplum, dające się wy-

fii i filozofii. Ujęte w sekwencje kretyzowanych jednostek, ujawnajdowały swoje miejsce w syszczęściami, zyskując tym samym rzecz ujmując: apoftegmat to forosobowość w perspektywie filo-uniwersalny wzór; w której spropowiedzenie zamknięte zostaje w dobyć z continuum czasu i wielości zwykłych słów oraz zawłości dziejów; w którym zwięzłość, bystrość i trafność zyskują rangę etyczną.

Tak oto zbiory apoftegmatów, widziane jako zamknięta kompozycyjnie całość, będące rejestrem zdarzeniowo na ogół potraktowanych powiedzeń najznamienitszych osobowości minionego czasu, kumulują cały ogrom jednostkowych różnicowań charakterologicznych, konstytuując coś, co można by nazwać jako „indywidualność powszechną”, w której ostatecznie ma się wyrażać to, co w człowieku, z punktu widzenia aksjologii humanistycznej, najbardziej wartościowe - męstwo, prawość, przemyślność, trafność, odpowiedniość, rozsądek i bystrość. Wszystkie uwagi na temat genologicznych uwarunkowań apoftegmatu pozwalają zrozumieć późniejszą wielką karierę tego gatunku w piśmiennictwie humanistycznym; albo szerzej - umożliwiają zaobserwowanie, nie tylko jak silna i jak ważna dla humanistycznej tradycji filozoficznej jest refleksja nad słowem i jak różne może ona przyjąć w literaturze formy, ale również pozwalają ocenić trwałość tej tradycji, dostrzec jej ciągłość i wypróbować jej prawdziwość na piśmienniczym materiale renesansu europejskiego, w szczególny sposób

dowartościowującego drobne, „kompendialne” formy literackie, będące manifestacją roli i siły oraz społecznej skuteczności człowieczej mowy. Trzeba w nich widzieć nie tylko ogniwo retorycznej, lecz może antropologicznej refleksji, która następnie - zagarnięta i przekształcona przez konceptystyczny barok - przesunie swe centra ku fascynacji specyficznym pojęciem czasem, jako polem realizacji ludzkiego ingenium, rozumem ludzkim, „dowcipem”, fenomenem prędkości kojarzenia, sytuując tym samym apoftegmatyczne formy bardziej już po stronie retoryki niż filozofii, estetyki niż etyki. Z czasem apoftegmat powoli, lecz wyraźnie ustępował miejsca maksymie (aforyzmowi - A.W.) w takim kształcie, jakim oczarował całą Europę François de La Rochefoucauld, autor „Maksym i rozważań moralnych” (1665).

Nawiązując do terminu welleryzm omówionego w poprzednim eseju nieodzownym staje się przypomnienie, że apoftegmat stanowi jego rdzeń w najczystszej, oryginalnej postaci! Dowodzi to, że wszystkie literackie rodzaje minitekstów są zbiorami posiadającymi wspólny iloczyn; tworzą różnorodną, wielobarwną, wielopokoleniową rodzinę. Apoftegmat - czarodziejskie zwierciadło, w którym słowo wiernie odzwierciedla duszę. Zwięzłą refleksją nad apoftegmatem niech będą słowa prof. Justyny Dąbkowskiej-Kujko:

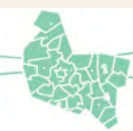
Apoftegmat to forma, w której zmienna i złożona osobowość w perspektywie filozofii moralnej konstryuuje się jako uniwersalny wzór; w której sprowokowane okazją incydentalne powiedzenie zamknięte zostaje w swoiste egzemplum, dające się wydobyć z continuum czasu i wielości zwykłych słów oraz zawilności dziejów; w którym zwięzłość, bystrość i trafność zyskują rangę etyczną. Słowna prezentacja mądrości jawi się dziś jako zasadniczy fenomen greckiej kultury, a apoftegmat jest jej najdobitniejszym wyrazem.

Adam Wiśniewski

Przypisy:

Odwołania i cytaty przytoczone w eseju pochodzą ze wskazanych poniżej publikacji, jak i wtórnie - z dzieł, do których się ich autorzy odwołują.

1. Justyna Dąbkowska-Kujko, Dawny apoftegmat. Między historią, retoryką a filozofią.
2. Słownik PWN.
3. Portale: wikipedia.org., booknięci.pl, encyklopedia staropolska.pl



POEZJA

Marek Czuku

Mistrzowi

Nie ma Różewicza, skończył
 bieg. Odszedł do Pana,
 z którym się wadził
 i którego szukał.

Całe lata przyjmowałem go
 z dobrodziejstwem inwentarza.
 Dojrzałem do niego
 znacznie później.

Uwierzyłem w Różewicza,
 tak jak on zaufał
 Bogu.
 Uwierzyłem Mistrzowi.

Rilke

Małe jest to, co zwyciężamy,
 a wielkie to, co nas zniewala.

Nędza, upadek, echo wojny,
 głębia, potęga, straszny anioł,

wzrost, doświadczenie, dary znikąd,
 szlachectwa, twory wyobraźni,

piekielny stos, cierpienia koniec.
 Wielka śmierć i płacze w duchu.



Mandelsztam

Jak zbity pies w strasznym śnie,
widmem jestem – nie ma mnie.

Na szyi wiążą troki
tłuste palców robaki.

Druga rzeczka – spaśle wszy
to karalucha oczy.

Woroneż – wrona i nóż,
dno nędzy ma Anny twarz.
skończę, zacznę rzygać.

To pa, do następnego.

Norwid

Mój dozorca nazywał się Norwid
i często mówił: „kurde mać”.
W okresie pierwszej Solidarności
spotykałem go często

na betonowym klombiku
przed blokiem, gdy zmęczony
procentami leżał w pozycji
embrionalnej, owinięty wokół róży.

Pewnego razu spytałem go
dowcipnie i znieńcka:
- Co tam, panie, w tej Weronie?
- Kamienie, kurde mać, kamienie –

wypalił. Teraz wiem, że Norwid
to nie tylko cham i alkoholik,
ale także intelektualista i filozof.
Jaka szkoda, że już nie żyje.



Miłosz

Pan Cogito chciałby dostać Nagrodę Nobla. W tym celu wyjechał do Szwecji, gdzie przez miesiąc czytał w oryginale Dzieła wszystkie

Miłosza. Pan cogito zdaje sobie sprawę, że nigdy nie będzie mówił po szwedzku jak rodowity Szwed ani nawet uchodźca z byłej

Jugosławii, wierzy jednak głęboko w sprawiedliwość dziejów, która przywróci światu utraconą cześć i równowagę.

Uwielbia też książki o tym, jak to dawniej bywało. Czesława Miłosza zna ze szkoły, nie pamięta tylko jego prawdziwej twarzy.

***Marek Czuku** - z wykształcenia fizyk i polonista, autor wierszy, prozy, dzienników, recenzji, felietonów, szkiców i piosenek.*

Prowadzi literacki blog:

<http://wforma.eu/wedrowniczek-marka-czuku.html>

<http://mirczyne.blogspot.com/2021/08/wyzej.html?m=1>



**Krzysztof Szymoniak****Piosenka dla nieznajomej**

Dzień za dniem, sen za snem,
Noc za nocą kapie,
Dźwięczy stukot twych obcasów,
Zaszeleścił papier

Tylko raz moja twarz
W twoich włosach tonie,
Słysząc zegar na ratuszu
I zgrzyt w nieboskłonie

No więc cóż, tak, to już
Setka lat dziś mija,
Spadam w zgrzebną resztę życia
Jak ta łza niczyja

Imię twe, śmierci dwie,
Jedna ze mną tańczy,
Zostawiłaś mi wspomnienie –
Zapach pomarańczy

Rzeki szmer, kilka zer,
Życie to wyprawa,
Czeka na nas chłód Czantorii
I na Rynku kawa

Ballada okrutna

Mieszkam wysoko. Nade mną dach tylko,
Anten pajęczyna
I coś, co jak nicość, nigdy się nie kończy,
Nigdzie nie zaczyna.
Tak. Dzień był piękny. Chmury, wiatr sierpniowy,
Ścięty słońca nożem.

Zachwyiłby się człowiek, albo umarł,
Mój ty biedny Boże.
Umrzeć nie sztuka. Raczej znikać cicho.
Gdy wieczór za krótki.
Na to sił trzeba, na to trzeba zdrowia
I zapachu wódki

Spoglądam w okno. Atramentem gaśnie
Zapluta ulica.
Nad domem księżyc, pod księżycem kretyn.
Stoi. Się zachwyca.
Otwieram okno. Pachnie mokra zieleń,
W bramie wino piją.
Potem flaszką sru! Z drzewa słowik spada
Z przetrąconą szyją.
Dwa piętra niżej, po przeciwnej stronie,
Młodzi robią dziecko.
Nikt im nie powie, bo tak było zawsze,
W spodniach i pod kiecką.

Zamykam okno. Wracam do swych złudzeń,
Jak strach do człowieka.
Tam słowik, księżyc, nic się nie zmieniło.
Rzeka, czarna rzeka.
Mieszkam wysoko. Za ścianą bandyta
Tłucze chudą żonę.
Nie ma tu Boga. Są tylko, ku chwale,
Rymy zropaczone.
O nic nie pytam. Lato życiem kipi
I jest dobrze. Chyba.
Jutro na niebo, pełne mroźnej ciszy,
Wpłynie czarna ryba.

Las i dziewczyna

W lesie rosną drzewa
i mchy grube jak pierzyna.
Stoimy pod jemiołą,
nasłuchujemy życia,
ja, miłość i dziewczyna.

W lesie ptak zaśpiewa,
choć to przecież zimy środek.
Trzymamy się za ręce,
spadamy w zapach igieł,
jak słońce w morską wodę.

W lesie mieszka anioł,
stróż borsuka mrówek saren.
A kiedy mnie całujesz
aniołom rosną serca
na zwykłą ludzką miarę.

W lesie duch jemioly
spisuje sny napoczęte.
Wracamy więc do domu,
ja – by napalić w piecu,
ty – by zaparzyć miętę.

W lesie rosną drzewa
i nigdzie im się nie spieszy.
Nam zaczyna być pilno,
tak trochę do świętości,
a trochę, żeby zgrzeszyć.

Zamiast rozmowy

Monice

z jednej strony Krotoszyn z drugiej strony Gniezno
między nami puste pola zimne drogi i wielkopolski
wiatr w małej słuchawce telefonu więc tak wygląda
rozmowa

czego nie możesz powiedzieć w takiej chwili gdy
chciałbyś krzyknąć o bezsennych nocach o tęsknocie
która oplata kobietę i mężczyznę mrocznym słowem
nigdy

a gdybyś mógł stanąć tam lub usiąść obok na ławce
gdyby pozwolono ci uśmiechać się w milczeniu
i całować kruchą dłoń to jakie przyszłoby ci do głowy
wspomnienie

jesteś tu ona tam nic was nie łączy poza literaturą
a ty uważasz się za szczęściarza bo przecież (o czym
wiesz) tak łatwo spłoszyć tańczące na mokradłach
żurawie

żyję długo już dawno wyzbyłem się złudzeń na swój
temat a przecież po tej nie-rozmowie zadrżała mi dłoń
gdy musiałem w końcu przesunąć palcem po ikonie
rozłącz

P., czyli na tym stanęło

osiem miesięcy snuliśmy plany, ona
pisała listy, ja rymowałem piosenki,
mieliśmy udane przejścia ku szczytom
i ekstatyczne odpoczynki w dolinach,
któregoś dnia nieopatrznie poszliśmy
po rozum do głowy, był to pełen troski
niespieszny dialog przerywany długimi
chwilami wyczekiwania i ciszy

stanęło na tym, że jestem za stary,
a ona za młoda, skoro tak, pomyślałem,
to trzeba coś z tym zrobić, obyło się
bez scen balkonowych i sypialnianych
fochów, spakowałem się do jednego
plecaka, zamykając za sobą drzwi
wiedziałem, że po takiej rozmowie
nie mogło być dla mnie ratunku

pyk...

byłeś raczej przystojnym mężczyzną
pyk... i grzbiety twoich silnych dłoni
pokrywają brązowe plamy starości

poznałeś smak powodzenia u kobiet
pyk... i zostały ci tylko tęsknoty
oraz cienie zaprzepaszczonych okazji

choroby omijały cię dużym łukiem
pyk... i już cię wiozą pod workiem
tlenowym na oiom lub do kostnicy

uwielbiałeś alkohol i młode kochanki
pyk... i oto marskość wątroby sprawia
że nawet z daleka zalatujesz trupem

chodziłeś po górach pływałeś jak ryba
pyk... i ledwo zwlekasz się z łóżka
o poranku nogi odmawiają współpracy

zwano cię mistrzem kilku profesji
pyk... i nikt nie pamięta twoich dzieł
a sławne nazwisko osuwa się w nicość

szukałeś swojego miejsca na ziemi
pyk... i okazuje się że gdziekolwiek
postawisz nogę wszędzie jest tak samo

dziesiątki lat zgłębiałeś władzę sądenia
pyk... i wychodzi na to że wszystko
co brałeś za pewnik wygląda inaczej

Krzysztof Szymoniak - urodził się w 1953 roku w Kępnie. Od roku 1969 mieszka w Gnieźnie. Od połowy lat 80. zawodowo związany z Poznaniem. Ostatni sekretarz redakcji poznańskiego miesięcznika NURT oraz założyciel i pierwszy redaktor naczelny dwutygodnika literackiego NOWY NURT. Absolwent polonistyki, dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego”, poeta, prozaik, fotograf. Wykładowca na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. W swoim dorobku posiada kilka zbiorów wierszy, kilka tomów prozy oraz cztery tomy eseistyki okółofotograficznej, w tym dwutomową monografię „Bez przysłony”. Uczestnik lub współautor lokalnych i ogólnopolskich zdarzeń fotograficznych i literackich. Przez kilka lat zgłębiał historię i terażniejszość Cieszyna, Zaolzia i Śląska Cieszyńskiego, stąd m.in. „Zapiski cieszyńskie” (2021). W roku 2023 ukazały się trzy jego książki: „365 – Archeologia Pamięci”, „3 poematy, oda oraz inne bajki”, „Oraz. Paniczne zapiski emeryta”.



Kalina Izabela Ziola prezentuje

Suzana V. Spasovska

EURYDYKA RAZ JESZCZE

Czy ożyłabym
gdybyś zabrał mnie
stąd

Czy to oznaczałoby
moje odrodzenie

I czy stanę się jedną z tych nielicznych
która doświadczyła podwójnej śmierci

jak to kiedyś
przydarzyło się Łazarzowi

Czy ożyłabym
gdybyś zabrał mnie
stąd

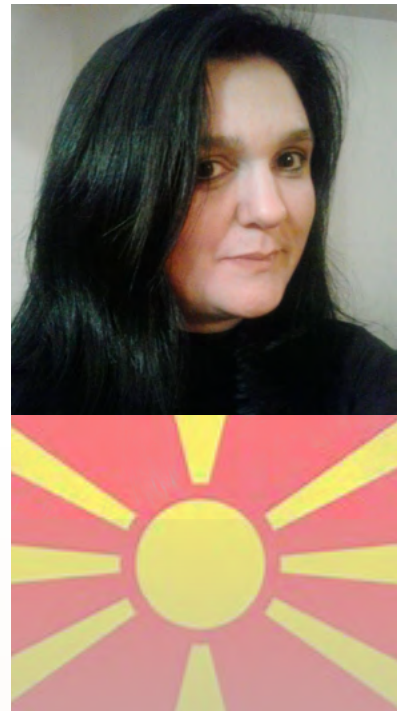
Czy byłbyś szczęśliwy
że mnie ożywiłeś

jak to kiedyś
zrobiła Izyda ze swoim ukochanym

Czy ożyłabym
gdybyś zabrał mnie
stąd

Czy doszłoby do szczęśliwego zakończenia
naszej miłości

i czy cię ochronię



przed gniewem urażonych menad

Czy ożyłabym?
gdybyś zabrał mnie
stąd

Czy żyłbym w cieniu Twojej chwały
pragnąc znów stać się cieniem

i czy zrozumiesz, jak czuje się ten,
który kiedyś umarł
aby znów żyć wśród żywych

Czy ożyłabym?
gdybyś zabrał mnie
stąd

nie zdając sobie sprawy, że to moja strata
przyniosła ci objawienie
o którym głoszą

i przez to musiałam się stać
twoim wiecznym cieniem

NAD OTCHŁANIĄ

Kiedy wzniesiesz się ponad otchłań
która po prostu pękła pod twoimi stopami
nie otwieraj oczu

W oddali może ujrzysz suchy łąd
Albo usłyszysz lej krasowy

Kiedy wzniesiesz się ponad otchłań
która po prostu pękła pod twoimi stopami
poczuj świeżość
z łona Ziemi

Wdychaj mgłę
na cząsteczkach kurzu
które u Ciebie szukają schronienia

Kto wie, jakie gwiazdy się w nich kryją

PIERWSZY ASTRONOM

Czy rozważanie tej myśli jest nazbyt naciągane?
 Atlas dla pierwszego astronoma
 Tego, który poznał z bliska
 niebo i gwiazdy
 I kto wie
 czy ich nie uporządkował
 tak jak w katalogu
 zrobił to dużo później
 stary Ptolemeusz

PORÓWNANIA

Do czego to porównasz
 tego którego kochasz

W jakiej gwieździe go widziałaś
 gdy noc świeciła tylko dla Ciebie

W której rzece go słyszałaś
 płynącej ryczącym nurtem

W jakim drzewie go widziałaś
 wznoszącym się i drżącym z podniecenia

W jakim kwiecie, w jakim zapachu
 który wkradł się do twojej duszy

Tłumaczenie na język polski Kalina Izabela Ziola

Suzana V. Spasovska – ((1972, Rotterdam, Holandia) ukończyła studia i uzyskała tytuł magistra nauk filologicznych na Uniwersytecie w Skopje. Opublikowała siedem tomików poezji – „Miłość i spiszek”, „List śmierci”, „Boska kobieta”, „Przez kadzidło”, „Jedna lilia”, „Motyl z popiołów”, „Język światła” oraz „Kaduceusz i lira” z 2022 roku. W 2021 roku opublikowała książkę o macedońskim wolnym wierszu „Freedom of Verse”. Jej wiersze zostały przetłumaczone na kilka języków. Pisała i publikowała teksty z zakresu teorii literatury w czasopiśmie. Pracuje jako wykładowca i lektor języka macedońskiego na American College University – Skopje. Jest członkiem Towarzystwa Pisarzy Macedonii.



Tomasz Gruchot

Kulturowa repetycja, czyli śmierć i dyskretne zmartwychwstanie metafory

W powszechnym odczuciu liryka jest dziś zjawiskiem społecznie neutralnym czy wręcz niewydolnym. Zmęczenie poetyckiego materiału powoduje, że współczesne wiersze i poematy nie mają już w sobie - choćby w szczątkowym natężeniu - tej dziewiętnastowiecznej siły rażenia czy mocy podrywającej masy do aktów rewolucyjnych. Przyczyną oczywiście nie jest brak dobrych tekstów, jako że z powodzeniem napisać je dziś może nawet sztuczna inteligencja; chodzi raczej o to, iż współczesny czytelnik coraz częściej czuje na przygiętym lekturą mnogością karku ciężki oddech dziwnie znajomych metafor, a nawet nieco zdyszane frazy udzielające się w kilku miejscach jednocześnie. Utraconą sprawczość arcydzieł zastąpiła wszechobecna repetycja, przez którą scena poetycka stała się w krótkim czasie rodzajem post-poetyckiej estrady. Odpowiada ona w dużej mierze za wysiloną literacką nadprodukcję i sprawia, że odbiorcy mowy związanej permanentnie cierpią na przyspieszoną przemianę lirycznej materii. W rzeczywistości jednak trudno tu mówić o rzeczywistej przemianie, skoro rzeczona materia powraca niemal nietknięta w kolejnych antologiach, tyle że pod nowym szyldem. Tłumaczy to do pewnego stopnia nader częste wśród czytelników wrażenie poetyckiego *deja vu*.

Miarą autentycznej jakości liryki może okazać się w tym kontekście to, na ile wiersz pozwala zatrzymać i przetworzyć uchwycony ładunek semantyczny i czy potrafi to samo uczynić z odbiorcą. Trudno jednoznacznie określić, na czym polega fenomen takich tekstów i jak wielu czytającym objawiają one swe właściwości. Dlatego każda próba ukazania tego procesu silnie naznaczona będzie subiektywizmem, podobnie jak dobór literackiej egzemplifikacji. Zatem przy wszystkich tych zastrzeżeniach, niechaj przyczynkiem do dalszych rozważań będzie wiersz Adama Wiedemanna pt. *Jabłko*:

Zrobiło się zimno Ciepłą kurtkę wyciągnąć trza z szafy
Ciepłą miłością otulić pożądanie drżące
o swoją autonomię Ciepłym tłustym sosem
napełnić pusty kościół ciała Ciepłym Brahmsem uszy

Ostry szron gdzie nie spojrzeć Ale z ciałem w puchu
z miłością w sercu i nawet potrzebą
Boga w drodze wyjątku przemienioną w Boga
można już iść i łapać miasto na zimnym uczynku

Teraz siedzę w ciemności otoczony ludźmi
klekotem wierszy murem Nagle widzę
jabłko pozostawione (w szafie) w kieszeni jesienno-płaszczu
: co zrobić żeby pamiętać Żeby tam nie zgniło

Utwór to zaiste niezwykły, choćby dlatego, że nie epatuje zwodniczo połyskującymi fajerwerkami, lecz osacza swym biegunowym konceptem, wskazaniem na ów niedookreślony stan, w którym człowiek próbuje powściągnąć naturalne dążenie ku skrajnościom, będącym jakże często przekonującą iluzją wyrazistości. Wielu lgnie do owych ekstremów podświadomie z całym bagażem gromadzonych latami prozaicznych nabytków i kulturowych zdobyczy, mimo że znakomita większość tych ostatnich nie posiada w sobie aspektu krańcowości. Równie instynktownie, dotarłszy lub nawet zbliżywszy się do któregoś z biegunów, większość intuicyjnie robi krok w tył, by choćby w minimalnym stopniu zrównoważyć skrajne doznanie. Bo skrajność ma przecież swój urok tylko wówczas, gdy jest odczuciem momentalnym i wywołanym z premedytacją, gdy *potrzeba Boga* staje się dla podmiotu refleksji Bogiem w czystym akcie w woli.

Z drugiej strony, tej bardziej świadomej, człowiek osadzony we współczesnej kulturze wykazuje skłonność do konfrontowania, zderzania ze sobą przeciwieństw niemal na wszelkich płaszczyznach swej aktywności. Jest to oczywiście skłonność wysoce infantylna, lecz względnie bezpieczna, bowiem owo zderzenie bywa zwykle kontrolowane, a niekiedy wyłącznie obserwowane, niczym przez pancerną szybę. W przypadku jednak osobistego uczestnictwa, człowiek zwyczajowo zabezpiecza się ponad miarę, na wyrost, zakładając, że tylko *z ciałem w puchu / z miłością w sercu można iść i łapać miasto na zimnym uczynku*. Oznacza to, że tylko w kokonie jednej ostateczności można bez obaw stawić czoła drugiej. I nie ma w takim wypadku mowy o momentalnych odczuciach, bo w końcu nie tyle oczekuje się wówczas doświadczenia samych skrajności, co braku zagrożenia z ich strony.

Bezpieczeństwo to wszakże stan wyjątkowo nietrwały, wymagający nieustannej weryfikacji, a nawet, co paradoksalne, pewnej dozy czujności. Trzeba go strzec także wtedy, gdy ludzkości udaje się względnie skutecznie odgrodzić od wpływu wrogich ekstremów. Te bowiem gotowe są przeniknąć każdy mur i objawić się w nieoczekiwanej, a zarazem niewinnej z pozorów formie. W końcu pozostawione w kieszeni płaszczka tytułowe jabłko pozostaje, przynajmniej na obszarze wiersza, w stanie zupełnie neutralnym i dopiero zapomniane, pozbawione kontroli odbędzie swą powolną wędrówkę ku ostateczności – ku rozkładowi.

* * *

Szyborska zastanawiała się swego czasu,
ile po tamtej stronie pustki na nas przypada,
ile tam ciszy na jednego tu świerszcza,
ile tam braku łąki na jeden tu listeczek szczawiu.

Sugerowała w ten sposób, że każdy element rzeczywistości może okazać się, przynajmniej hipotetycznie, antytezą drobnego wycinka niebytu. Wiedemann nie zadowala się przypuszczeniem, domysły ustępują w jego wierszu pola zmysłowym doznaniom, dzięki czemu bieguny odczuć mnożą się w swej różnorodności, a wielorakie formy ich doświadczenia wskazują na stopień skomplikowania problemu poddanego lirycznej refleksji. Efektowne uproszczenia Szyborskiej z założenia niczego nie wyjaśniają, przyjmując z góry niewiarygodność wszelkich definicji. Sensualne uszczegółowienie dokonane przez autora *Jabłka* także od definicji ucieka. Odnosi się jednak wrażenie, iż jest ona tu nie tyle niemożliwa, co zbędna. Po rzeczywistości można przecież poruszać się intuicyjnie, zaledwie odczuwając pokrewieństwa zjawisk. I chociaż nie wyjaśni ich żadne syntetyczne ujęcie, to może przybliżyć je celna, niezwykła metafora, lub oryginalny ciąg swobodnych asocjacji.

Tego rodzaju teksty uzmysławiają odbiorcy, że droga od skraju do skraju niekoniecznie musi być prosta, a nawet nie zawsze musi być drogą. Nie wiadomo bowiem, czy czytelnik pchany ku któremuś z biegunów odkryje go nagle w Wiedemannowym *Jabłku*, czy może to właśnie ów biegun objawi się niespodziewanie w potencjalnie zgniłym owocu.

Jedno wszakże wydaje się, jeśli nie pewne, to przynajmniej wysoce prawdopodobne; czytelnik może zostać „zatrzymany” i twórczo „przetworzony” jedynie przez taki wiersz, którego istota nie polega na błyskawicznym przeskoku od jednej błyskotliwej metafory do drugiej. Strategia taka eliminuje bowiem szanse na rozwarstwienie ukrytych sensów i dotarcie do zatamowanych znaczeń. Nie sposób stwierdzić, że jabłko podlega rozkładowi, jeśli nie obserwuje się całego procesu lub choćby wybranej jego fazy, w stanie swoistej deprivacji, koncentracji na wybranych powolnych, ale nieodwracalnych metamorfozach. W przeciwnym wypadku trudność sprawić może nawet potwierdzenie kulturowego związku między obrazem jędrnego skarbu sadu a widokiem pomarszczonego składnika kompostu.

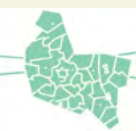
Jedno z najstojniejszych obciążonych kulturowo jabłek świata, to z obrazu Rene Magritte'a *Syn człowieczy* również nie bez przyczyny (choć odwrotnie niż u Wiedemanna) umieszczone zostało przed twarzą znajdującej się na płótnie postaci. Zdawać by się mogło, że - zakrywając człowiecze oblicze – wskazuje, jak krótkim epizodem jest obecność dowolnej formy bytu w relacjach krótko trwa z tej perspektywy i owocu. Co jednak najbarfakt, że człowiek podlega tu wanemu procesowi rozkładu. Ma-Wiedemann, posługuje się aby zawłaszczając on niemal był podstawowym impulsi i pierwszym źródłem skod poziomu i rozległoa także od erudycyjnego wanego w procesie interczy jabłko okaże się uprasnasączoną semantycznie liwości znajdują się zaska a każda na swój sposób nierzadko pozostaje w irybojąc się z jednej strony czeń, a z drugiej bezmiaru możliwości.



René Magritte, *Le fils de l'homme*, 1964.
(źródło: Wikipedia)

„Niedaleko gnije jabłko od jabłoni”, pisał w swej głośnej powieści Ignacy Karpowicz. Magritte i Wiedemann sugerują, że to nie tyle jabłko i jabłoń są tu istotne, lecz sam proces rozkładu, który – choć wydaje się wyjątkowo zużyta i ciągle replikowaną uniwersalną metaforą – podlega mimo wszystko nieustannej kulturowej i semantycznej rewitalizacji.

Tomasz Gruchot



Edyta Kulczak
**Nie ulegać przekonaniu, że na nic nie mamy wpływu – o książce
 Renaty Adamskiej-Garbowskiej „Preludium budowania głowy”**

Co znajdziemy w tomiku o tak interesującym, by nie powiedzieć zawadiackim tytule? Intuicyjnie czuje się zapowiedź zmian. Zmian, nie zaś pojedynczej zmiany. Bo otóż to, co wydarza się w tej książce, to zapowiedź dłuższego procesu, przygotowanie do gruntownej przebudowy... uwaga! - całego centrum sterowania światem - GŁOWY! Nic piękniejszego dawno już nie spotkałam w tytułach tomików poetyckich – często nudnych, wydumanych lub napuszonych, o banalnych - nie wspominając. Renata Adamska, jak zapowiada, wybiera się w drogę długą i trudną, aczkolwiek naturalną i człowieczą. Pewnie duktem tym podąża od początku, zebrała doświadczenia i przemyślenia, które skłoniły ją do obrania innego kierunku? Nie, tak nie myślmy. Raczej innego punktu widzenia. Doświadczenia i przemyślenia nauczyły ją wiele i nadszedł czas na porządkowanie. Przekładanie cegiełek w hierarchii dawno zbudowanego gmachu Mądrości. I dokładanie następnych. By budowla wspinała się jak najwyżej...

Preludium budowania głowy to zapowiedź zmiany stanowiącej o naszej ludzkiej tożsamości – przeorganizowanie świata wartości na lepszy, bardziej optymalny, po prostu dojrzały mądry – porzucający szamotanie, bunt, chcenia, roszczenia, mrzonki – czekanie na spełnienie zaplanowanego czy wymarzonego sensu, a powrót do istoty wszechrzeczy, do siebie pięknego, sprzed lat, gdy było się jeszcze nieskalanym cywilizacją, wymaganiami i oczekiwaniami społecznymi. Gdy nie trzeba było podejmować się trudów, w jakie wrzuca istnienie albo waga wyzwań była jeszcze do udźwignięcia bez odczuwania ciężaru czy smakowania goryczy przegranej. Pełnia świadomości to otwartość na człowieczeństwo w odświeżeniu i cielesnej, i duchowej. Otwartość na metafizykę i cykliczną powtarzalność procesów, do których zostaliśmy my ludzie fizycznie zaprogramowani. Do czego się przebudzić w środku życia? Do boskości w nas czy człowieczeństwa? Odpowiedź podmiotu lirycznego wpisanego w ten tomik jest cudownie jasna – do celebrowania bycia człowiekiem. Cały proces istnienia naznaczony jest stygmatem przemijania – przepływania przez życie w chwilach niedostrzeżonych, ale i świadomych – marginesy księgi życia służące do notowania pytań ciągle i wciąż zapełniają się nowymi myślami, choć te najwcześniejsze pożółkły już naznaczone czasem. Ale nowe pytania formułowane są z ostrożnością i rozważą, w poczuciu wiedzy i przeświadczenia, że słowo, jak kropla czy iskra może przeorganizować cały wszechświat, zmienić bieg czyjegoś życia, że cienie mijających dni płaczą się między światłem i ciemnością.

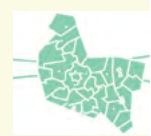
Jak mantra powtarza się w wierszach zwerbalizowane pragnienie spokoju – w ciszy dobrze podjętych decyzji, zdrowych czy niezdrowych przyzwyczajęń, wreszcie w odejściu od codziennych zgiełkliwych zajęć. W tych chwilowych ucieczkach, wydawałoby się bezistnieniach, tkwi pragnienie dojrzałego samostanowienia. Nawet, gdy czasem powracają lęki przeszłości czy doskwiera brak wiary w przyszłość, która - wydaje się - kieruje swoje kroki ku

przepaści... Przed niemocą wobec mechanizmów ludzkiego urządzenia świata (bo z Boskim podmiot jest raczej pogodzony), ubijającego dzień w dzień złotego cielca i niesprawiedliwie dzielącego go według wyznaczonych terytoriów i granic, ratuje natura. Natura dobra wpisana w człowieka oraz przyroda – zapach przeoranego kartofliska, obrzęd chrztu dokonany przez kaczkę otrząsającą mokre pióra przy brzegu, tkliwe mruczando kota, świeżość poranka, szum liści na wietrze, do którego chce się przytulić. Elementy franciszkańskiej radości życia kształtują poczucie dystansu do siebie samego, do swoich błędów, potknięć, niedoskonałości. W tomiku wyrażają się one czasem subtelnym odautorskim humorem – anioł przygląda się wysiłkom podmiotu lirycznego i nadziwić się nie może, że kamienie jeszcze nie przemówiły! Przez to wszystko przebija się potrzeba współistnienia z innym człowiekiem, jakby egzystując w pojedynczym egzemplarzu było się niepełnym czy niewystarczającym. Jednostkowe istnienie wpisuje się także w historiozofię dziejów człowieczeństwa i wszechświata – *usycham i marszczę się/ jak lupina orzecha/wiedząc że nie mogę/sprostać wyzwaniu/ sprzed dwóch tysięcy lat* (***)*życie po dwukropku*, s. 39).

Wiersze mają postać pytań, przemyśleń i refleksji skupionych wokół subiektywnego odbioru świata przez podmiot liryczny, który nie domaga się rzeczy niestworzonych i niemożliwych. Pragnie przeżyć życie dobrze i spokojnie, znaleźć złoty środek, nie obiecując sobie gruszek na wierzbie – „ech, jak wiele można doświadczyć obierając ziemniaki”! I choć w książce znalazł się wiersz *Przebudowa*, zaczynający się od słów *zbudowała mi się głowa*, następne słowa i tytuł całego tomiku nie zakłada szczęśliwie, że proces jest skończony. Ba, możemy sądzić, iż dopiero się rozpoczyna – bo obszarów do poszukiwania budulca jest nieskończenie wiele. A i sposobów na jego ułożenie nie ma.

Renata Adamska-Garbowska, *Preludium budowania głowy*, Wydawnictwo Edu-Art, Sandomierz 2023

Edyta Kulczak




Jerzy Stasiewicz

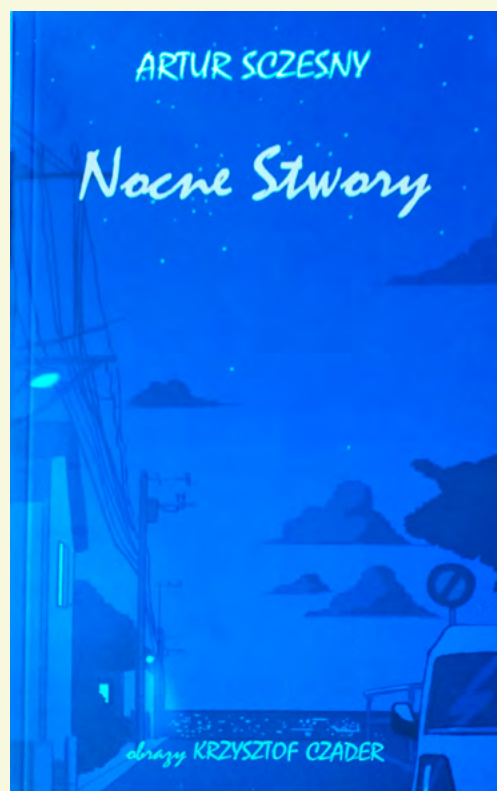
Nocne Stwory nawiedzają barda poezją młodości

- Jurku, ten człowiek może cię połamać i poskładać na miejscu. W takt melodii poezji śpiewanej, abys zapomniał o bólu. – Rzekł o liderze grupy artystycznej **Inne Słowa** Arturze Szczesnym w czasie ich koncertu w podbeskidzkiej Jasienicy, w drugim dniu Festiwalu Poezji STARDUST 2023 Julek Wątroba. A wiedział, co mówi, wszak w młodości sam trenował boks w wadze lekko... śmiesznej. By po latach osiągnąć najwyższą kategorię w polskiej... literaturze! Kim jest na co dzień ów bard zaczerpnałem wiedzy w kularach. To... lekarz, ortopeda-traumatolog, rehabilitant medyczny, instruktor i sędzia w Polskim Związku Karate Tradycyjnego. Aż ciarki przeszły mi po plecach. Rocznik 1964, kiedyś Bytomianin, od 2006 mieszkaniec Śląska Cieszyńskiego. Poeta, autor tekstów i muzyki wszystkich utworów wykonywanych przez grupę, której jest założycielem. (Nagrano albumy studyjne: *Uwolnić motyle* (2021), *Doceniam* (2022), *Dom* (2023)). Nie jest mu obcy folk i piosenka żeglarska. – Choć akurat nieustający wiatr jest w moich włosach. Czasem nawet szkwał. – Debiutował poetycko w czasopiśmie „Nowy Medyk” w 1985 roku. Na dniach ma się ukazać jego debiutancki tom wierszy.

Po koncercie, niespodziewanie zostałem obdarowany ostatnią płytą, przechodząc na Ty. Zachowywałem jednak w rozmowie odległość. Żona Artura kobieta piękna (jak i syn, członek zespołu), ale teściowa... Mogła być z Opolszczyzny?

W połowie listopada listownie otrzymałem szczelnie ofoliowaną książkę – septyka, rygor pandemiczny, stara szkoła, pomyślałem, nie fanaberie drukarni? – **Nocne Stwory**, wybór niepublikowanych dotąd wierszy z lat 1983 – 1987. Z kolorowymi grafikami Krzysztofa Czadera wszechstronnego artysty (rzeźba, rysunek, malarstwo). Kolekcjonera motyli i chrząszczy.

Poezja Artura Szczesnego – tak głęboko osadzona w słowie – **rozgrywa** się niejako poza słowem. Może związane to jest z muzykalnością utworów? I silnym ukorzeniu poety w melodii cięższej u niego od najmłodszych lat ku poezji śpiewanej. Pamiętajmy o jej śladach w przedhomerowej Grecji (ok. 900-700 p.n.e.). Tam aoidowie – śpiewacy, akompaniujący sobie na formindze lub kitarze (dawne instrumenty strunowe) wykonywali własne, twarde dla ucha kompozycje, opisujące i sławiące losy bohaterów i władców. Zabawiali ludzi na dworach monarszych. Ciekawe czy na etacie? Podobnie trubadurzy – poeci i muzycy działający w XII



Artur Szczesny, *Nocne Stwory*, GOK w Jasienicy, 2023.

i XIII wieku na południu Francji, piszący w języku oksytańskim (occitan/lenga d'òc, w Polsce częściej nazywanym językiem prowansalskim). Działalność trubadurów to najwcześniejszy i najistotniejszy przejaw regionalnej sztuki muzycznej i poetyckiej w średniowiecznej kulturze Zachodu, jej wpływ dostrzegamy – poza średniowieczem – także na terenie innych krajów Europy. Tu obowiązkowo trzeba przywołać rybałtów. Artystów sztuki plebejskiej (miejskiej) – chwaliłem ich wielokrotnie w swoich esejach – wędrownych śpiewaków, muzykantów, aktorów. Jednoosobowych przedstawicieli sztuki żywego planu. Rybałt uprawiał wszystkie **gatunki muzyczno-literacko-taneczno-cyrkowe**. Co chwalebne, posługiwał się językiem narodowym. Stąd wyczuwam w twórczości Szczesnego nie skrzydła Ananke, a raczej bat tej greckiej bogini konieczności, bezwzględnego przymusu, nieuchronności, siły zniewalającej do podporządkowania się wyrokowi przeznaczenia. Dawno wyznaczyła talentowi człowieka – przynoszącemu ulgę w bólu i prawidłowość postawy – artystyczny azymut. Potwierdzeniem: setki gratisowych koncertów traktowanych jako spotkanie poetyckie, a słuchaczy jako koneserów wartościowego tekstu przyprawionego adekwatną muzyką w magii zaśluchania?! Czerpiąc z dorobku Helleńczyków najważniejszą normą etyczną poety/zespołu jest umiejętność znajdowania pośredniej drogi między skrajnościami – *sofrozyné* – tj. złotego środka, zdrowego rozsądku, umiaru. A potępienie i zwalczanie – *hybris* – dumy, buty, pychy, arogancji. Pamiętamy do czego doprowadziła Edypa i Kreona.

Poezja Artura Szczesnego to „ukłucie” uruchamiające wyobraźnię czytelnika/słuchacza, „ukłucie” jednorodne, działające odmiennie na każdego (indywidualna percepcja). Przeczytajmy wiersz „Byłem”:

Co zrobić z jestem

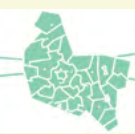
rozdać roztrwonić
schować zachować
położyć uchronić
poznać zasłonić
ubrać wychować
grzać pielęgnować

Co zrobić z byłem

pozwolić pochować

To czytelna cecha poezji – człowieka wielu twarzy – odwołująca się do emocji, wrażliwości, jak i do intelektu. Ze szczyptą ironii (tajemniczy uśmiech czarta). „Wiele kamienic które znałem / buldożery zmusiły / do kapitulacji / Po jednej z nich / sześć metrów pod ziemią / pozostał krzyk moich narodzin / i zapach babcinego obiadu // Czujesz”. Ze szczyptą lingwistyki: „Cyk cyk / kołacze się / w nodze biurka kołatek / Serce drewna / Dźwięk znikąd donikąd / wciśnięta / (...) / Cyk cyk / słysz mnie słysz”. Ale nie jest ona zerojedynkowym komunikatem. To „błotny płomyk”, który w tajemniczy sposób rozświetla w nas intymny, indywidualny świat dziejący się na wielu płaszczyznach. Z jakąś drugą stroną rzeczywistości, intuicyjnie wyczuwalną - z zawieszeniem głosu – w melodii zapisu. To nierozpoznawalna część tej **dziejby**, w której jednak w sposób jak najbardziej realny rozgrywa się nasza wędrówka.

Jerzy Stasiewicz



Przemysław Kulczak

Terminator

Większości kojarzy się niemal wyłącznie z filmem albo pewnym znanym aktorem, tu dzież dawnym gubernatorem Kalifornii. Terminatorem może też być jakiś sportowiec, który nie daje szans swoim rywalom. To człowiek ze stali bądź z żelaza, który małym palcem zrówna z ziemią każdą przeszkodę na swojej drodze i zawsze zwycięży, a na koniec zbierze wszystkie pozostałości po przeciwnościach oraz przeciwnikach, i wrzuci je do kontenera na śmieci. Potem otrzepie ręce, wydmucha nos i zasiądzie do śniadanka, narzekając, że mleko jest za gorące. Każdy chciałby być terminatorem, chociaż przez chwilę.

Nie każdy wie, że tak naprawdę terminator to nic spektakularnego. Wręcz przeciwnie – to po prostu uczeń rzemieślnika. Przykre, że nastąpiło takie rozczarowanie po wspaniale zapowiadającym się wstępie. Takim terminatorem, czyli zwykłym uczniem, amatorem czy dyletantem nikt już nie chce być. Wszyscy odwrócili się od terminatora, wydaje się im teraz żaloszny. Zupełnie niepotrzebnie, bo nawet sam uczeń może być zjawiskiem całkiem dumnym i godnym szacunku. Nie trudno się domyślić, że każdy wolałby być mistrzem i wielkim wirtuozem, ale nie każdemu pisany taki chlubny los. Warto czerpać satysfakcję z tego, co akurat człowiekowi przypadło lub na co zapracował. Po co się frustrować?

Nie w kierunku pouczeń będziemy jednak tutaj zmierzać, a w kierunku ciekawostek godnych uwagi, bo chyba większość zgodzi się, że wyjdzie nam to na lepsze. Skoro niewielu słyszało, że terminator jest w rzeczywistości uczniem, to zapewne jeszcze mniej liczne grono zna ostatnie znaczenie tego obcego słowa.

Miło patrzy się na Księżyc w pełni. Widok ów wprawia obserwatora w nastrój refleksyjny, kontemplacyjny, a może i trochę sentymentalno-melancholijny. Nie mniej interesujący jest Księżyc nie w pełni, choć pod pewnymi warunkami. Prawdopodobnie między „półpełnią” a pełnią. Przywodzi bowiem na myśl świecący kartofel i nie pobudza nas do zachwyty, ale między nowiem a pierwszą kwadrą staje się bardzo charakterystyczny, niejako magiczny. Przypomina wtedy odwróconą literkę C (tak zwany „sierp”), która z dnia na dzień coraz bardziej wypełnia się lśniącą treścią. Mówimy wtedy, że Księżyc rośnie. W końcu następuje pierwsza kwadra i Księżyc ma kształt D. Mechanizm tego zjawiska omówimy kiedy indziej, bo to zajęcie, powiedzmy, trochę mniej barwne. Po literce D jest faza kartofla, potem pełnia, potem znów kartofel, tylko odwrrotny, potem trzecia kwadra, czyli odwrócone D, a potem Księżyc dalej maleje, przypominając coraz wyrazistsze C aż do nowiu i cały cykl się zamyka. Jasna sprawa.

Niewątpliwie najciekawiej prezentuje się pełnia Księżyca i sierp. Gdy jest wystarczająco ostry i smukły, może nawet powodować pewien niepokój. Dawno temu, ponoć w pewnych niepokojących okolicznościach, na taką smukłą literkę C na niebie zwrócili uwagę Turcy osmańscy i wtedy Księżyc wylądował na ich fladze. Nie o tym jednak będziemy pisać, a o tym, dlaczego sierp Księżyca jest taki interesujący. Być może wydaje się wtedy bardziej

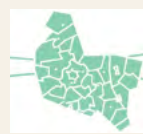
dynamiczny i wygłodniały niż nasycona, obżarta do syta pełnia, jednak z pewnością wpływa też na to nie kto inny, jak terminator właśnie, czyli linia między oświetloną i nieoświetloną częścią tarczy Księżyca.

Dlaczego tak się nazywa ta granica? Zapewne dlatego, że łac. *terminare* znaczy 'kończyć', a *terminator* to coś (lub ktoś), co kończy. Może nie jest to ekscytująca informacja, która zmieni nasze życie, ale warto zauważyć, że tak jak terminator nie robi wrażenia dla nieuzbrojonego oka, tak robi dużo większe dla oka przy teleskopie. Obserwując taki sierp Księżyca widać wyraźnie, jak terminator raz podskoczy na jakimś wzgórku, raz zniknie w kraterze, a innym razem zapadnie się w dolinie. Gdyby patrzeć przez dobry teleskop albo wykonać dokładną fotografię takiego Księżyca, można uzyskać materiał na zdjęcie roku, a przynajmniej miesiąca. Przed terminatorem widać wszystko, a za nim rozpoczyna się ciemność, w której mogą zamajaczyć tylko jakieś pojedyncze punkty, na przykład wyższe wzgórza, które podskakują na tyle, że złapią jeszcze trochę słońca.

Oczywiście terminator dotyczy każdego ciała niebieskiego oświetlanego przez gwiazdę. Astronauta, który patrzyłby na Ziemię przez teleskop z Księżyca, zobaczyłby terminator rozmyty. Na Księżycu terminator jest ostry i wyraźny, bo nasz drogi satelita nie posiada atmosfery. Jeśli słońce na dany punkt powierzchni nie świeci, to nie świeci, i jest w owym miejscu ciemno. Na Ziemi przecież nawet, gdy słońce już zajdzie, ciągle jest widno przez pewien czas, co się nazywa zmierzchem albo świtem, gdy występuje przed wschodem słońca, a zawdzięczamy ten przywilej atmosferze.

Przyzwyczajiliśmy się, że terminator to ten jeden jedyny niezniszczalny, ale wiele rozmaitych terminatorów obserwujemy każdego dnia. Po co szukać na niebie, skoro wystarczy poczekać aż zapadnie zmrok i zapalić lampkę na biurku. Okazuje się, że dużo pocziwych terminatorów podnosi wtedy głowę. Jeden usadowił się na jabłku, inny na globusie, a jeszcze inny na drewnianej figurce z Karpacza. I chyba nie trzeba się przejmować, bo żaden z nich raczej nie jest niezniszczalny. Żeby się ich pozbyć ostatecznie można po prostu zgasić lampkę i iść spać. W ten sam sposób wystarczy wyłączyć telewizor i zniknie także niszczyciel ze stali. Pozostanie tylko jeden śpiący terminator, ten prawdziwy, czyli ambitny uczeń, pracujący ciężko, by przerosnąć swego mistrza. I kto powie teraz, że nie warto być terminatorem?

Przemysław Kulczak



Osorezan - miejsce lęku i trwogi

Danuta M. Zasada

Wiele czasu zajęło mi opracowanie dojazdu do Osorezan – Straszliwej Góry, albo też Góry Lęku i Trwogi położonej w prefekturze Aoyama na Półwyspie Shimokita, w północnej części wyspy Honsiu. Z Tokio do Osorezan jest ponad 800 km. Pierwszy etap podróży to superszybki pociąg – *shinkansen* o godzinie 6.28 rano ze stacji Tokio. O 10.01 byliśmy na stacji Shin-Aomori, skąd trzeba przesiąść się na ekspres jadący do miasta Aomori. Stamtąd ekspresem do Shimokita. Z miejscowości Shimokita autobusem lokalnym do Osorezan - końca wszelkich ziemskich szlaków.

Byliśmy na miejscu o 13.30. Autobus przejechał drogą asfaltową obok czerwonego mostku, prowadzącego, według opisów, tych, którzy odwiedzili to miejsce do krainy zmarłych. Podwiózł nas niemal pod samą świątynię Bodaiji zarządzaną przez sektę zen sōto. Natychmiast podszedł do nas przewodnik z identyfikatorem na ramieniu, poprowadził pod kasę świątyni, gdzie (obowiązkowo!) kupiliśmy bilety. Następnie przekroczyliśmy bramę i, idąc wciąż za przewodnikiem, doszliśmy do schroniska



Mostek do Góry Trwogi. Fot. D. Zasada©

dla pielgrzymów – *shukubo*, gdzie mieliśmy rezerwację noclegu. Przewodnik dopilnował, żebyśmy zdjęli buty i zamknęli je w szafkach, ubrali specjalne pantofle, po czym zaprowadził nas do recepcji. Stamtąd po wypełnieniu karty meldunkowej kobieta niemniszka, zabrała nas do pokoju.

Olbrzymi pokój wyłożony był plecionymi ze słomy ryżowej matami *tatami* – było ich około dwudziestu (wielkość tradycyjnych japońskich pokoi mierzy się liczbą mat *tatami*). W przedpokoju, gdzie nie było mat, należało zostawić pantofle. Kobieta pokazała toaletę z muszlą klozetową ze wszystkimi aplikacjami (mycie, podgrzewanie, suszenie) oraz, tuż obok, pomieszczenie do mycia – dwie umywalki. Nie było wanny ani prysznic. Nie zdziwiliśmy się jednak, bo w innym schronisku dla pielgrzymów, w którym byliśmy (na Mont Koya) nie mieliśmy ani toalety, ani wody w pokoju. Tutaj, w Osorezan, umyć można się było nie w pokojach, ale w drewnianych budynkach rozsianych po okolicy – były w nich baseniki z wodą

siarkową. Można też było pójść do dużego *ofuro*, czyli łaźni, która znajdowała się w budynku, gdzie nocowaliśmy.

Kobieta zostawiła nas samych, wręczając kartkę (po angielsku) z opisem, jak należy się zachowywać na terenie świątynnego kompleksu. Obowiązywał swoisty rozkład dnia: od 5.00 rano czynne jest duże *ofuro*, gdzie można się umyć i wymoczyć we wrzątku (myłam się, ale nie moczyłam we wrzątku, który miał trochę ponad 40° stopni C). O 6.30 w głównej świątyni jest poranna medytacja i recytacje sutr buddyjskich; o 7.30 wegetariańskie śniadanie; kolacja o godzinie 17.30 – również wegetariańska.

Zostawiliśmy nasze tłumoczeki i wyruszyli, by zwiedzić okolicę. Była godzina 14.00. Obiad zjedliśmy już wcześniej w pociągu. Świeciło słońce i białe skały z żółtymi siarkowymi plamami nie wyglądały specjalnie ponuro. Wszędzie unosił się zapach siarki i białe opary. Gdzieś pod ziemią coś bulgotało. Szliśmy prowadzeni przez strażki, zatrzymując się po drodze przed figurkami boddhisatwy Jizo. Jizo, według ludowych wierzeń japońskich, opiekuje się dziećmi, a szczególnie ich duszami po śmierci. Mijaliśmy kopczyki z kamieni, usypane przez pielgrzymów. Na wielu z tych kopczyków kręciły się kolorowe wiatraczki. Wszędzie pełno było małych ołtarzyków z figurkami Jizo, w ubranku lub bez, oraz kamieni, a nawet



dużych muszli z napisami po japońsku. Wiatraczki jęczały, piszczały, płakały. Zostawiają je rodzice zmarłych dzieci. Wiatr wieje tu zawsze. Jezioro, do którego prowadziły strażki, falowało. Jego wody zawierają duże ilości trujących minerałów, głównie siarki i ołowiu, toteż nie ma w nim życia. Jest za to biała plaża, na której płaczą wiatraczki. W labiryntach ścieżek spotykaliśmy Japończyków.

Następnego dnia była niedziela. Wstaliśmy wcześniej, by zdążyć na medytację. Zaczynała się o 6.30, siedzieć trzeba było na kolanach albo po turecku. Prowadzący ceremonię mnich wygłosił coś w rodzaju kazania. Wciąż powtarzał

Jizo. Fot. D. Zasada©

imię Jizo oraz słowo *kodomo*, co po japońsku znaczy dziecko. Następnie, po wielu uderzeniach w bęben i po przeraźliwych, wprawiających powietrze w drżenie gongach, w które walił asystent mnicha, nastąpiło wyczytywanie nazwisk obecnych – w tym naszego, z podaniem miejsca, z którego dana osoba przyjechała. W naszym przypadku mnich wypowiedział słowo “Polska”. Jeśli chodzi o Japończyków, podawano nazwy prefektur. Następnie wyczytywano imiona i nazwiska zmarłych dzieci. W końcu asystent zaczął recytować sutry buddyjskie. Po zakończeniu obrzędów można było obejrzeć wnętrze świątyni i zająrzeć za “ołtarz”, czyli za figurę Jizo.

W niedzielny poranek na siarkowych pustkowiach nie było grup. Po ścieżkach w zadumie spacerowali ludzie, którzy tak jak my zanocowali w *shukubo*. Były to pary albo samotni mężczyźni ubrani na czarno, ze smutkiem w oczach.

Po śniadaniu ponownie poszliśmy na dróżki meandrujące wśród siarkowych wyziewów. Zauważyliśmy, że pojawiły się nowe wieżyczki z kamieni i muszle z napisami japońskimi.

Wiał silny wiatr, jęczały wiatraczki, niebem sunęły chmury, fale na jeziorze połyskiwały seledynem. Było trochę strasznie i trochę smutno. Czerwony mostek z daleka połyskiwał czerwienią.

Dwa posiłki, jakie jedliśmy w Osorezan – kolacja i śniadanie – prezentowały się, jeśli można tak rzec, malowniczo. Na kolację podano nam *tempurę* (warzywa smażone w panierce), zupkę miso, ryż i pikle różnego rodzaju oraz słodką fasolę. Przed posiłkiem musieliśmy wziąć udział w modlitwie, którą prowadził ten sam, co podczas medytacji mnich - jest on właścicielem świątyni i bardzo się stara, by kult Jizo się rozwijał. Kolację jedliśmy pałeczkami, które musieliśmy przynieść sobie również na śniadanie. Nic nie mogło się tutaj zmarnować. Wszelkoczesna prostota życia i oszczędność bardzo mi się podobały. W czasie kolacji zagadała do nas para Japończyków – ona знаła naszego kolegę z pracy, który kiedyś pracował w Japonii w turystyce. On znał się nieco na religii buddyjskiej i z zapalem recytował z kartki modlitwy przed posiłkiem. Ona nie umiała ich nawet przeczytać, bo nie dotrzymywała mu kroku. Japoński język religijny bardzo różni się od codziennego. Ledwo skończyłam śmigać pałeczkami (umiem w ten sposób zjeść nawet zupę miso!) kiedy mnich oznajmił koniec kolacji, intonując modlitwę dziękczynną (ci, którzy chcieliby dobrać sobie ryżu nie mieli szans). Zaprosił nas następnie do



Śieżki wśród siarkowych wyziewów. Fot. D. Zasada©

holu przed jadalnią, gdzie można było obejrzeć film na temat Góry Trwogi - głównie zdjęcia z lokalnych świąt. W czerwcu przyjeżdżają do Osorezan tłumy, by poprzez kobiece media *itako* nawiązać kontakt ze swymi drogimi zmarłymi, również z dziećmi. Mniej popularne święto obchodzone jest pod koniec października, po czym 1 listopada wszyscy mnisi przenoszą się z Osorezan na dół, do miasta Mitsu. Osorezan zasypany jest śniegiem aż do kwietnia. Ponowne otwarcie świątyni i schroniska dokonuje się w maju.

Jak to w Japonii, ów kompleks świątynny nie był aż tak bardzo pozbawiony cywilizacyjnych udogodnień, gdyż schronisko było radiofonizowane, a mnich przez głośniki zapowiadał, że pora wstawać. Odcięcie od świata żywych też było raczej umowne, gdyż pomalowany na czerwono mostek przez japońską rzekę Styks stał sobie tak po prostu, nie był wcale konieczny, bo autobus i tak dojeżdżał do “buddyjskiego piekła” asfaltową drogą. Jezioro otoczono ogrodzeniem, aby oddzielić go od olbrzymiego parkingu, przewidzianego na przyjazdy hord zmotoryzowanych pielgrzymów.

Po kolacji nie było już nic do roboty, zapanował iście klasztorny spokój. Nie mieliśmy ochoty udać się do drewnianych łaźni rozstawionych gdzieś na pograżonych w ciemności polach siarkowych. Położyliśmy się spać o 20.00.

Czyste powietrze, atmosfera jakby z innego świata, gongi, bębny, medytacje, modlitwy uspokajały, oczyszczały ciało i umysł. Schronisko było nowiutkie, pachnące świeżym

drewnem, przyjemne. Wielkie pierzyny na *futonach* (materacach) rozłożonych na podłodze wydawały się nawet nieco za ciepłe na tę porę roku. W nocy panowała idealna cisza. Mnisi wstają zwykle o 3.00 rano i rozpoczynają dzień medytacją. Ale poruszają się tak bezszelestnie, że nie słyszeliśmy ich kroków i nie mogliśmy się zorientować, ilu ich było. Przełożony tego buddyjskiego klasztoru miał zapewne napięty program zajęć, gdyż nie chciał z nami zbyt długo rozmawiać, kiedy przed wyjazdem spotkaliśmy go w korytarzu. Mówił zresztą tylko po japońsku. Jeśli ktoś przyjechałby tutaj, znając tylko angielski, mógłby mieć trudności w porozumieniu. My dawaliśmy sobie radę podczas konwersacji na tematy ogólne. Niestety, nauk mnicha nie byliśmy w stanie zrozumieć.

Powrót do Tokio rozpoczęliśmy od podróży autobusem. Startował o 10.00 rano. W czasie przesiadki mieliśmy dwie i pół godziny na zwiedzenie portu i okolic stacji w stolicy prefektury Aomori. Stoi tam zamieniony na muzeum prom, który do czasu zbudowania podmorskiego tunelu (100 m pod poziomem morza!) zapewniał komunikację między wyspami Honsiu i Hokkaido. Teraz na tej trasie podróżować można pociągiem.

Przyjechaliśmy do domu w niedzielę o 23.00 wieczorem. Podczas takich wyjazdów bardzo wyraźnie widać różnicę między życiem w Tokio i na prowincji. W Tokio są męczące tłumy, nieświeże powietrze (wyziewy z klimatyzacji i kanałów!) i presja reklam, zmuszających do zapoznawania się z mnóstwem niepotrzebnych, jak się okazuje w czasie pobytu na prowincji, rzeczy.

Kiedy po powrocie rozpakowałam plecak, koszula nocna cuchnęła mocno siarką!

Widok świątyni. Fot. D. Zasada©



Gość Radziwiłłów

Marcel Woźniak

O Żydzie, który wołał być Francuzem

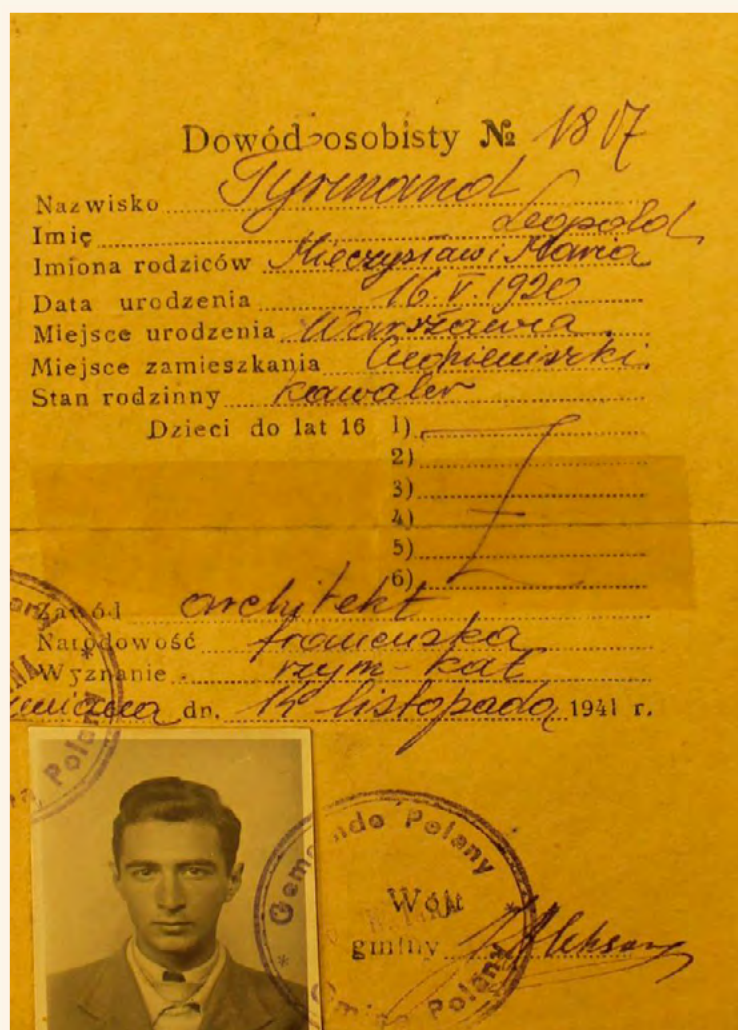
– Zmień zupełnie imię i nazwisko – myślałem sobie. – Tak będzie lepiej. Będziesz miał odtąd dwa dowody osobiste, jeden prawdziwy, drugi ten

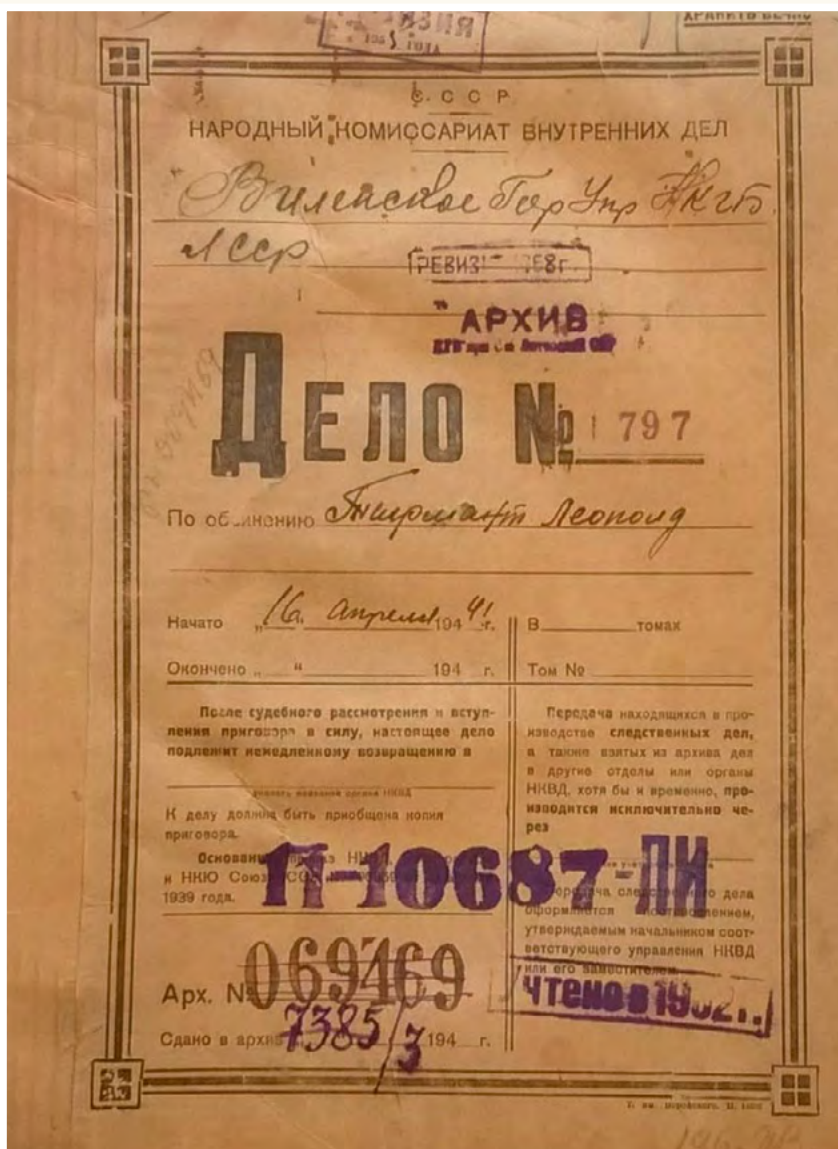
W 2023 roku hitem w polskich kinach – a potem także w serwisie streamingowym – był film *Filip* w reżyserii Michała Kwiecińskiego. To oparta na prozie Leopolda Tyrmanda o tym samym tytule historia polskiego Żyda (stąd też cytaty we wstępie), który pracuje podczas wojny we Frankfurcie nad Menem. Podaje się tam za francuskiego kelnera. W ten sposób pierwszy raz od lat pojawiło się w tzw. mainstreamie nazwisko Leopolda Tyrmanda. Pisarza przecież bestsellerowego w przeszłości, a dziś jednak zupełnie zapomnianego. Pisarza znanego w kręgach, bywa, że modnego, ale w zbiorowej świadomości zupełnie obcego. Nieobecnego w lekturach i szkolnych wypisach. Premiera filmu stała się okazją do dopisania *post scriptum* do funkcjonującej w przestrzeni publicznej opinii na temat pisarza.

Falszywy dowód osobisty Leopolda Tyrmanda 1941. Archiwa Hoovera.

Tyrmand – autor *Złego*

Leopold Tyrmand zapisał się w annałach przede wszystkim jako autor powieści *Zły* oraz diariusza *Dziennik 1954*. Pierwszy z utworów okazał się – tłumaczonym potem na ponad dwadzieścia języków – bestsellerem lat 50. XX wieku. Drugi czytany był z drugiego obiegu w czasie karnawału „Solidarności” w latach 80. Wspomniany *Filip*, wydany w nikłym nakładzie w roku 1960, nie miał dobrej prasy. *Dziennik 1954* wydano w 1980 roku w Londynie, rodzimi czytelnicy poznali go dopiero po 1989 roku. Obie wspomniane powieści zniknęły z księgarń i bibliotek po zapisie cenzorskim na Tyrmanda, gdy ten wyjechał z Polski do USA w 1965 roku. Kiedy pisarz





Teczka Leopolda Tyrmanda. Archiwum KGB w Wilnie.

mógł się do niczego odnieść, bo leżał w piachu na Long Island. I po cichu przeszedł do kronik, jako „barwny ptak PRL-u”, autor dwóch znanych książek i bohater towarzyskich skandali, jako człowiek dziwny i niejasny, pełen sprzeczności. Człowiek, który rzekomo udawał Francuza. Który podawał się za kurlandzkiego barona. Który notorycznie zmyślał.

Filip czyli: kto?

Zdaniem pisarza i kompozytora Stefana Kisielewskiego, *Filip* był najbardziej udaną z tyrmandowskich powieści. Książka była sprężysta, nie za długa, barwna i pełna autotematycznego pazura. Kisielewski pisał o tym na łamach „Twórczości” z 1962 roku, podczas gdy sąsiadujący z jego tekstem artykuł Andrzeja Kijowskiego atakował Tyrmanda, nazywając pisarza „Balzakiem dla gówniarzy”. Etykieta ta – o choczko podjęta przez propagandę i środowisko – przykleiła się do Tyrmanda na lata.

W redakcji *Filipa* pomagała Leopoldowi żona – wprawiona w krótkich tekstach dla „Przekroju” - Basia Hoff. Gdy Tyrmand rozpędzał się z opisami rodem ze *Złego* – a więc książki pokaźnych rozmiarów – Basia skreślała całe akapity.

-To niepotrzebne! – mówiła.

Bo Tyrmand pisał wszystko z pamięci. *Filip* był bowiem sfabularyzowanym zapisem autobiograficznym, w którym Leopold zawarł z czytelnikami autobiograficzny, a trochę fanta-

zmatyczny pakt. Istotą fabuły były losy tytułowego Filipa, który po wybuchu wojny przedostaje się z Warszawy do Wilna. Tam podejmuje pracę w konspiracji, za co zostaje aresztowany przez NKWD i osadzony na Łukiszkach. Po ucieczce z transportu na Wschód pałęta się po lasach Oszmiańszczyzny, aż w końcu wyrabia sobie lewe papiery na nazwisko Filip Vencel. W dokumencie wpisuje, że jest Francuzem i z takim giejtem zgłasza się na roboty do Niemiec, w myśl zasady, że najciemniej jest pod latarnią. Tam pracuje w hotelu, dzieląc pokój z pochodzącym z Holandii przyjacielem, Piterem von Diggele.

Mały nakład *Filipa* przeszedł bez większego echa, a książka wznowiona została dopiero trzydzieści lat później. I umknęło wszystkim, że Leopold wszył w stronnice książki historię swojego życia.

Jak przeżyć w oku cyklonu

Powtarzane przez lata bujdy o kolaboracji Tyrmanda z Sowietami – wszak „Prawda Komsomolska” była radziecką gazetą agitacyjną – znalazły mocną kontrę w dokumentach Archiwów Akt Specjalnych Litwy. W zdeponowanych tam archiwach KGB odnaleźć można papiery, z których wynika, że Tyrmanda aresztowano w kwietniu 1941 roku w Wilnie za przywództwo w polskiej, kontrrewolucyjnej organizacji niepodległościowej Związek Wojenny Walki Zbrojnej.

Wilno, 15.04.1941

Tyrmand jest jednym z dowódców polskiej młodzieżowej nielegalnej kontrrewolucyjnej organizacji. Prowadzi aktywną działalność w celu zwerbowania młodzieży do organizacji. Rozpowszechnia nielegalną literaturę organizacji. Udostępnia swoje mieszkanie na spotkania przywódców organizacji. Na jednym z nich Tyrmand występował i żądał aktywnych działań w walce z władzą sowiecką na Litwie o niepodległość byłej kapitalistycznej Polski.

Pisanie w gazecie było przykrywką. W aktach znaleźć można protokoły z przesłuchań, podczas których Tyrmand nie wydał nikogo z przyjaciół.

W Polsce po wojnie o swojej działalności Tyrmand nie opowiedział nikomu. A człowiek, który wsypał go w Wilnie, w komunistycznej Polsce był rektorem Uniwersytetu Ludowego. Nazywał się Waldemar Babinicz i spotkany kiedyś przez Tyrmanda w Warszawie nie rozpoznał go. Tyle, jeśli chodzi o pierwszą część fabuły *Filipa* (w filmie bohater trafia do Niemiec nie z Wilna, a z warszawskiego getta).

Był ostatni dzień mojego pobytu w archiwach Hoovera na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, gdy z pewnej teczki wysunęła się drobna kartka. Spadła fotografią do dołu, toteż schyliwszy się po nią, najpierw przeczytałem zapisane po niemiecku daty. Później kartkę odwróciłem. I zobaczyłem na niej to, co stanowiło istotę fabuły *Filipa*.


„Zmień zupełnie imię i nazwisko” – mówi bohater książki Tyrmanda. „– Tak będzie lepiej. Będziesz miał odtąd dwa dowody osobiste, jeden prawdziwy, drugi ten”.

Odnaleziony w Kalifornii dokument słowo w słowo oddaje to, co Tyrmand opisał w swojej powieści. Na starym blankiecie dowodu osobistego wpisał, że jest urodzonym w Warszawie Francuzem, katolikiem, architektem. Z tym papierem przeżył całą wojnę. Jako Żyd w oku niemieckiego cyklonu.

Dokumenty na temat jego działalności niepodległościowej w Wilnie krążyły między Warszawą a Moskwą do połowy lat 60. XX wieku. Historie o kolaboracji Tyrmanda z Sowietami-

Czek z przelewem dla Piotrusia. Archiwa Hoovera.

**SCHWEIZERISCHE
BANKGESELLSCHAFT**
UNION DE BANQUES SUISSES - UNION BANK OF SWITZERLAND

Telephon (051) 25 36 60  Telegramme: Bankunion

Adresse: Herrn Dr. Ernst Halperin
Natolinska 2/84
W a r s z a w a
Polen

Zürich, 30. Dezember 1960 Devisen / Changes
Ref.: 761/D

Belastung / Avis de débit

Wir haben zu Lasten Ihres Kontos vergütet
Nous avons bonifié par le débit de votre compte

gemäss Auftrag vom 30.12.60 Br.Konto
selon ordre du

Zahlungsgrund / Motif du paiement

Auftrags: "from Lo"

US\$200.-- [REDACTED]

In Worten } zweihundert dollars
en toutes lettres }

ergebend zum Kurse von / produisant au cours de
Fr. 862.-- zuzüglich unsere Spesen
" 1.-- plus nos frais
Fr. 863.-- Val. 30.12.60

Hochachtungsvoll - Vos dévoués
SCHWEIZERISCHE BANKGESELLSCHAFT
UNION DE BANQUES SUISSES

P.L. Van Diggele
Hunzestraat 57 II
Amsterdam 2

Bankers Trust Company, New York
durch / par
Amsterdamsche Bank N.V.
Amsterdam

1520 ZG 10.60

mi powtarzało wiele autorów – w tym: także prac naukowych.

Po powrocie z USA rozmawiam przez telefon z badaczem Oszmiańszczyzny (to tereny na granicy Litwy i Białorusi), wysłałem mu dowód osobisty Tyrmanda.

- Skąd pan to ma?! – krzyczy do słuchawki.

– Nie uwierzy pan, ale z Kalifornii. Co pan może o tym powiedzieć?

– Zna pan Filipa?

– Oczywiście.

– Ja też. Mam go właśnie otwartego na kolanach. Proszę pana, nazwiska, które Tyrmand opisuje w książce zgadzają się z rzeczywistością. Nazwiska dowódców z tego regionu.

– A czy blankiet jest prawdziwy?

– Tak. Przedwojenny sołtys sprawował tam władzę i miał stare blankiety.

Poszukiwania prawdy na temat Leopolda Tyrmanda opisałem w książce *Tyrmand. Pisarz o białych oczach*, która ukazała się w roku 2020. Znaleźć tam można również wspomnienia potomków dwóch rodzin – z Bonn i Toronto – których przodkowie opowiadali im, jak podczas wojny ukrywali się z Tyrmandem na Oszmiańszczyźnie. Na pytanie o to, czy jest Żydem, pisarz miał odpowiedzieć, wysławiając się z charakterystyczną wadą wymowy:

- Ależ skąd! Fhancuzem!

Trzy lata po premierze książki na ekrany najpierw dużego, a potem małego ekranu trafiła ekranizacja *Filipa*. Film przyjęto z dużym entuzjazmem. Widzowie zgodnie podkreślają, że takiego bohatera w polskim kinie jeszcze nie było. Martyrologię zastąpiła obsesyjna chęć

przetrwania głównego bohatera, który walczy z nazistami w zupełnie oryginalny sposób. Który nie jest bohaterem z frontu ani powstańcem z kanałów. Filip jest po prostu młodym chłopakiem, który chce żyć i afirmować życie, nie mając żadnych szans na lepsze juro.

Premiera filmu przyczyniła się do pewnego wzrostu zainteresowania twórczością pisarza. Czy to jednak sprawi, że Tyrmand wróci na należne mu miejsce w historii polskiej literatury XX wieku?

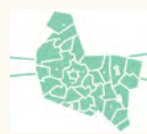
Fotografie:

1) *Dowód osobisty Tyrmanda*

2) *Teczka akt NKWD*

3) *Leopold Tyrmand i Piter von Diggele, Amsterdam, lata 70.*

Marcel Woźniak, pisarz i dziennikarz, doktor nauk humanistycznych. Autor pierwszej biografii Leopolda Tyrmanda. Znalazł się w gronie Books From Poland 2020 Instytutu Książki z książką *Tyrmand. Pisarz o białych oczach*. Tropiąc historię Tyrmanda odwiedził San Francisco, Chicago, Nowy Jork, Wilno, Frankfurt nad Menem, a nawet Moskwę. Twórca powieści kryminalnych *Powtórka*, *Mgnienie*, *Otchłań*, *Most nad wzburzoną wodą* oraz wojennych *Egzekutor* i *Rzeźnik z Lyonu*. *Fan Hermanna Hesse* i *Georges'a Pereca*. Obecnie pracuje nad biografią pochodzącego z Poznania artysty Jana Lenicy (1928-2001). Gość *Radziwiłłów - Antonin* (2023).





Gość Radziwiłłów

Jolanta Sroczyńska-Pietz

Książę. Historia pewnego szaleństwa, czyli rzecz o Michale Radziwille

Prolog

Na początku była idea. Pomysł. Zrodził się w głowie pradziada mojego Księcia. Kiedy przyjechał pierwszy raz w przygodzickie lasy, postanowił: tu wybudujemy pałac z drzew rosnących w mojej puszczy, nadamy nowy sens ich istnieniu, pokażemy naturze, do czego zdolny jest człowiek. Drwale zaczęli pracę. Projekt zlecono słynnemu architektowi. W puszczy wyznaczył koło, wpisując w nie pałac o czterech równych ramionach. Wpisał krzyż, wskazujący drogi we wszystkie strony świata, którymi rozeszli się członkowie rodu Radziwiłłów.

Przodkowie mojego Księcia mocno wierzyli w symbol krzyża. Ojciec i matka stali na jego straży. Był filarem świata, który dawał im wysokie miejsce. Taką spuściznę dostał w swoje ręce Książę. Nie był pierworodny, pierwsza urodziła się siostra, ale dla dziedzictwa kobiety się nie liczyły. Został wychowany na dziedzica ordynacji, na pierwszego pośród dobrze urodzonych. Czy dziwne, że poczuł się równy Bogu? Książę miał w sobie wpisany grecki krzyż, dwie równe sobie belki na skos. Jednak drogi, które w życiu wybierał były pełne ostrych zakrętów, aż pewnego dnia z krzyża uczynił swastykę (...).

Książę o sobie. Primus¹

Stoję sam, bosy w koszuli nocnej. Drzę z ekscytacji, a może jednak z chłodu, *qui sait?*² To jest moje najstarsze wspomnienie z dzieciństwa, sięga czasów, gdy do rodziny należał stary pałac w Berlinie przy Wilhelmstrasse. Stoję w głównej komnacie, przed potężnym świerkiem, drugi tak wielki znajduje się w przeciwległym końcu sali, a między nimi szpaler małych drzewek, wszystkie ozdobione świeczkami, jabłkami i piernikami o różnych kształtach. Są gwiazdki, choinki, serduszka, jelonki i dzwoneczki. Przy każdej *Weihnachtsbaum*³ i stół, a na nim prezenty. Każde dziecko w pałacu ma swoje drzewko i swój *petit table*⁴ z prezentami. Choinki ustawiono od największych do najmniejszych, stosownie do wieku dzieci. Jestem w pałacu najmłodszy pośród kuzynostwa, więc prezent dla mnie znajduje się na końcu. Muszę przejść wzdłuż całego szpalera stolików pełnych prezentów. Męka to dla mnie, nie dla-

1 Pierwszy (łac.)

2 kto wie (fr.)

3 choinka (niem.)

4 mały stolik (fr.)

tego że idę boso po lodowatej posadzce, ale dlatego, że tych prezentów jest tak dużo i nie są dla mnie. Wszystkie spakowano, więc mogę sobie tylko wyobrażać, jakie cuda w nich się kryją. Gdy docieram do swojego stolika, kłuje mnie marność drzewka, które przy nim stoi. Na szczęście prezent jest duży, ale czy największy? Zabieram go ze stolika, ledwie obejmuję ramionami i stawiam na każdym następnym, porównując ich wielkość. Upewniwszy się, że nikt nie dostanie większego, biegnę odstawić na miejsce. Prezentów nie będzie można rozpakować jeszcze przez tydzień, aż do odwiedzin cesarzowej Wilhelkowej. Taka tradycja domu, *une des curiosités*⁵. Dwór cesarski musi zobaczyć, jak Radziwiłłowie hojnie obdarowują swoje dzieci.

Moja siostra Aga i brat Janusz przyszli na świat już po sprzedaniu starego pałacu, w mieszkaniu przy Alsenstrasse, które papa wynajął od Żyda Salomonsa, dlatego dokuczałem im, nazywając *Judenkinder*⁶. Życie pokazało, jak trafne było to przezwisko, nie ze względu na miejsce urodzenia, a na chytryść i przebiegłość, iście żydowską, z jaką mnie okradli z dziedzictwa.

Wtedy, gdy wymknąłem się boso ze swojego pokoju, by obejrzyć prezenty, zostałem oczywiście przyłapany przez służbę. Wynikła z tego wielka afera, której nie pamiętam, ale Babunia czasem wspominała. Zażądała natychmiastowego zwolnienia mojej bony. Dla matki incydent był tylko małym uchybieniem służącej, której nie należało się dziwić, gdyż miała pod opieką niezwykle niesforne dziecko. Matka sama wybrała tę bonę i była z niej zadowolona. Babunia stanowczo domagała się zwolnienia i nie wskórawszy nic u synowej, zwróciła się do syna. Papa był wychowywany w całkowitym posłuszeństwie wobec rodziców. Ku niezadowoleniu żony, nie sprzeciwił się matce. Bona w pierwszy dzień świąt musiała pakować swoje walizki.

Z całej rodziny tylko Babunia mnie kochała. To była *grande dame*⁷. Znała i w pełni akceptowała swoje miejsce w rodzinnej hierarchii. Nie było to najlepsze miejsce, ale dla niej wystarczające. Wszystkie niedogodności i przykrości związane z tym, że nie miała wiele do powiedzenia w swoim domu i rodzinie rekompensowała sobie wysoką pozycją Radziwiłłów w towarzystwie. Nigdy nie rzucała się do zmieniania rzeczy, o których inni zdecydowali, że są poza zasięgiem jej zmian. Nie miała wpływu na to, do jakich szkół pójdą jej dzieci, kogo poślubią, o tym decydował jej mąż. A jednak to Babunia odegrała kluczową rolę w moim wychowaniu. Oprowadzała mnie po pałacu, pokazywała rodzinne portrety przodków, opowiadała o nich rozmaite historie. Wpoila mi dumę z przynależności do naszego rodu. Powtarzała: „Jesteś najstarszy z rodzeństwa, wszystko będzie należeć do ciebie”. Czasami mi się śni. Siedzi w swoim salonie na empirowej kanapie otoczona chińskimi wazami. Ma na sobie tiulowy czepek, suknię z falbanami, a w ręku trzyma wachlarz. Dostojnym tonem mówi: „Jesteś księżę Michał Karol Jan Alojzy Wilhelm Edmund Robert Władysław Radziwiłł *primus inter patrici*⁸”.

Jolanta Sroczyńska-Pietz

5 jedna z osobliwości (fr.)

6 żydowskie dzieci (niem.)

7 wielka dama (fr.)

8 pierwszy pośród dobrze urodzonych (łac.)





Bogna Skrzypczak-Walkowiak

To przydarzyło się naprawdę

Tryptyk plotkarski

Wiele lat temu, oglądając animowane historyjki Freaky Stories (Niesamowite opowiadki), doszłam do wniosku, że już dawno nie miałam do czynienia z tak zajmującymi kreskówkami o fabule oscylującej między thrillerem, horrorem, weryzmem i skatologią. W dodatku to wszystko przydarzyło się naprawdę, jak zapowiadał narrator na początku każdego odcinka. Pod wpływem tej oraz innej kreskówki Oto Szadoki, kończącej się niezmiennie tą samą frazą: „I to by było na tyle” postanowiłam spróbować swoich sił w tworzeniu opowiadań, może i trochę niesamowitych, ale jednak zakorzenionych w życiu, a konkretnie w życiu moich krewnych i przyjaciół. Cierpliwych zapraszam do lektury.

część I

Kto zapłodnił listonoszkę?

To wydarzyło się naprawdę, a przynajmniej tak utrzymywała sąsiadka mojej koleżanki, z którą dawno temu chodziłam do szkoły. Pewna listonoszka z małej miejscowości Niwki zabiła swojego męża. Nikt nie wie, w jaki sposób pozbawiła go życia i dlaczego to umknęło uwadze organów ścigania, ale zamordowała biedaka z zimną krwią i odcięła mu... przyrodzenie. Co zrobiła z resztą, też nie ustalono.

Nie była to bynajmniej krwawa zemsta za lata małżeńskich upokorzeń, lecz niczym niewytłumaczalna chęć obcowania z mężem (a właściwie jego częścią) bez udziału zainteresowanego. Nie wiem, skąd o tym wiedziała sąsiadka mojej koleżanki, ale listonoszka codziennie podobno odbywała swoisty akt płciowy z członkiem nieżyjącego współmałżonka i trwało to jakiś czas. Moim skromnym zdaniem zbyt długi, niż by na to pozwoliły prawa natury odpowiedzialne za rozkład martwego ciała.

Pewnego dnia okazało się, że listonoszka zaszła w ciążę. Sąsiadka koleżanki twierdziła, że ojcem dziecka jest pewien podglądacz, który, obserwując z ukrycia poczynania listonoszki, podłożył swojego „ptaszka” w miejsce tego martwego i zapłodnił niczego nieświadomą kobietę. Jak to zrobił? Próbowano ustalić. Zdaje się, że w stosownym momencie położył się pod łóżkiem, na którym listonoszka uprawiała swój zdrożny proceder. To więc przydarzyło się naprawdę.... Sąsiadka koleżanki była przekonana w stu procentach.

Według mnie prawdopodobieństwo zdarzenia w skali 1 do 10 wynosi 0

A mogło to wyglądać tak:



Krystyna pracowała jako listonoszka w małej wiosce w województwie kaliskim, obecnie wielkopolskim. Codziennie sumiennie roznosiła listy i lubiano ją, jak to ludzi, którym się w życiu nie powiodło. Krystyna bowiem była kobietą samotną – nie panną, nie wdową i bardzo długo nawet nie rozwódką. Mąż Krystyny – murarz lekko-
 duch wyjechał pod koniec lat osiemdziesiątych do Niemiec, gdzie miał przysłowiowe większe szanse w dorobieniu się mimo pracy na czarno i podłych warunków chwilowej egzystencji w Reichu. Niestety, robiąc zakupy w jednym z niemieckich dyskontów, poznał samotną acz ponętą kasjerkę, wprowadził się do niej, a po pewnym czasie przysłał Krystynie papiery rozwodowe i to był koniec ich małżeństwa.

Oczywiście listonoszka nie chwaliła się na prawo i lewo swoją sytuacją, zносиła godnie status kobiety porzuconej bez informowania nikogo, dlaczego jej mąż nie wrócił z Niemiec do małego wielkopolskiego sioła. Może nie chciała być jeszcze bardziej lubiana. Miejscowa ludność, żyjąc w dręczącej do granic wytrzymałości niewiedzy, spekulowała na temat rzekomego losu męża Krystyny. Podobno Wojtek Podeszwiak, wychodząc wieczorem od swojego szwagra, widział jak dawniejszy gastarbeiter wracał z wielką walizką do domu, w którym musiał zostać niechybnie zgładzony i pozbawiony walizkowych dóbr. W świetle innych lokalnych plotek mąż Krystyny umarł na polu szparagów w wyniku zawału serca, a że sprowadzenie ciała do Polski jest zbyt kosztowne, po prostu został pochowany bez zbędnych ceregieli w przygranicznym niemieckim miasteczku. Starsze panie zaczęły nawet spoglądać ze zgorzeleniem na listonoszkę, jednak później wszystko wróciło do normy, a Krystyna zainstalowała się w miejscowej społeczności jako ni to panna, ni to wdowa.

Skandal wybuchł, gdy okazało się, że listonoszce rośnie brzuch - i nie były to zwały tłuszczu przybywające na skutek jedzenia zbyt dużej ilości crossiantów. To dopiero!!!

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, droga Felu, spadło na mnie wielkie nie-szczęście z powodu mojego syna Marysia. Po śmierci swojej zachowywał się przecież po bożemu, dbał o gospodarkę, do kościoła chodził, raz po raz popił sobie z chłopami, ale to wszystko. A teraz co, chce się żenić. Nie chodzi mi o to, że chce mieć nową kobietę, ale myślałam, że to będzie ktoś od nas, na przykład Mania Kubalowa, co to jej chłop dwa lata temu wpadł pod samochód. Dziecków nie ma swoich, ładna, rarytna i z gospodarką, którą by można przyłączyć do naszej. A tak się kielcała do Marysia, to sobie myślałam, że już

niedługo coś będzie. A tu, Felu, okazuje się, że Maryś chce się żenić z inną i to z tą listonoszką z Niwek. O niej to różnie powiadają, że męża zabiła. Ślubu w kościele nie będzie, bo pono jednak rozwódka. Tak coś czułam po kościach, jak Maryś zapisał się na tę gazetę o gospodarstwie. Nie wiem, jak ona się nazywa, ale zamiast kupować w mieście, postanowił zrobić tak, żeby mu co miesiąc przynosiła poczta do domu. Potem widziałam, że kupił sobie perfum, taki dla mężczyzn, i że z tą listonoszką coś zbyt długo zagadywał przy płocie. Gdybym ja wtedy wiedziała..., a teraz co... Od mała do wiela i trzeba wesela. Tak to, moja Felu, jest. Cała radość z tego, że będzie dziecko, a i może z niej, to znaczy z Krysi listonoszki, nie taki diabeł straszny, no i skoro pierwszego chłopca ma za granicą, to tak jakby krewnego (...)

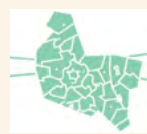
*

W sobotę 25 stycznia 1992 roku odbył się w USC, przy Urzędzie Gminy w Sośniach, ślub Krystyny Nowaczyk z Niwek Książęcych i Mariana Kubicy z Chojnika. Panna młoda była już bardzo gruba. Ale, tak naprawdę, nie wiem, czy mogłoby to tak wyglądać, bo jak wspomniałam wcześniej sąsiadka mojej koleżanki twierdziła, że sprawa wyglądała zupełnie inaczej...



Bogna Skrzypczak-Walkowiak, ur. 11 czerwca 1971 roku w Ostrowie Wielkopolskim. Absolwentka filologii polskiej, dziennikarstwa, filozofii i bibliotekoznawstwa. Doktor nauk humanistycznych. Pierwsza w Polsce opisała filozofię filmu jako strategię dydaktyczną. Współautorka dwóch książek: „Uczeń - nauczyciel - badacz w przestrzeni teatru” (Poznań 2015) i „Niepojęty przypadek. O poezji Wisławy Szymborskiej” (Kraków 2015). Autorka zbiorów opowiadań („Pani Kant i madame Hyde”, „Kot słusznie dumny”, „To przydarzyło się naprawdę...”) i artykułów w czasopiśmie. Nauczyciel języka polskiego. Obecnie kierownik Mediateki. Przystanek kultura – filii Biblioteki Publicznej im. Stefana Rowińskiego

w Ostrowie Wielkopolskim. Prowadzi zajęcia ze studentami na W-PA UAM w Kaliszu. Osobowość Ostrowskiej Kultury 2022. Wciąż zabiegana - z uwagi na wiele zajęć (praca, teatr, chór) nie rości sobie prawa do nazywania jej pisarką. Raczej eksperymentuje piórem.



Henryk Kamiński

Listy do Norwida

(fragmenty)

Warszawa, 25 czerwca 2023 r.

Cyprianie,

Kiedy rzeźbiarz Waław Szymanowski po ćwierćwiecznym staraniu odniósł upragniony sukces odsłonięcia własnego dzieła, w dniu 14 listopada 1930 roku pomnika Chopina w Łazienkach Królewskich w Warszawie, Ty Wizjonerze zapewne też byłeś kontent z tego wydarzenia, że Twój przyjaciel - także geniusz - został uhonorowany przez wrażliwe dusze Polaków i wszystkie artystyczne środowiska świata. ... i oto od 1959 roku w sezonie letnim każdego roku rozbrzmiewa muzyka Fryderyka pod jego monumentem.

Cyprianie, który z obłoków niebiskich dajesz mi siłę i radość, sprawiłeś, że znalazłem się na koncercie w Łazienkach Królewskich, abym mógł podzielić się z Tobą radosną nowiną o muzyce i poezji. Przy pomniku Chopina - Twojego przyjaciela słuchałem mistrzowskiego wykonania utworów Fryderyka przez pianistę Hyuka Lee z Korei Południowej. Zasłuchany wśród tłumów melomanów myślami byłem z Tobą Mistrzu. W pamięci mojej kwitła świadomość o Twojej wyobraźni i wielkiej wrażliwości na muzykę Fryderyka, jakże pięknie wyrażonej w wierszu „Fortepian Chopina „.

Kiedy zabrzmiały dźwięki Poloneza A - dur Op. 40 Nr 1, przy kolejnym bisie artysty Lee, tłum zerwał się z siedzeń, by ze wzruszeniem wsłuchać się w dźwięki fortepianu, który maestrią palców Lee, biegających po klawiaturze, wydobywał wszystkie barwy śpiewu ptaków i odgłosy sioła Twojego ojczystego kraju nad Wisłą. Kiedy ucichł ostatni akord, brawa echem niosły się za Belweder i po Parku Łazienek Królewskich, a Wy Geniusze za bramą niebios pewnie rozmawialiście o poezji, o muzyce i tak sobie gracie - na dźwiękach wszechświata.

Henryk

Paryż, 19 maj 2022 r.

Cyprianie,

Dzisiaj przekroczyłem progi Panteonu w Paryżu, aby uhonorować swoją obecnością wielką patriotkę, Polkę, geniusza nauki, Marię Skłodowską Curie. Przecież lat wiele wcześniej, również lśnił blaskiem Twój Norwidzie geniusz, a nade wszystko wizjonerstwo przyszłości świata. Ileż to, Mistrzu wyobraźni, trzeba było czekać dni i wiosen, aby „wygrzebać” Twoją

twórczość z zakamarków zapomnienia. Do dzisiaj rodacy jakby nieśmiało odkrywają Twoją zdumiewającą zdolność wybiegania myślami w przyszłość, a stolica Warszawa dotychczas nie znalazła miejsca, aby uhonorować Twoje zasługi monumentem, czy choćby posągiem.

Kiedy zagłębiłem się w historię osób „ukrytych” w Panteonie, myśli natrętne dopadły mnie takie:

... a gdzież to dla Ciebie, schodząc z zaświatów jest drogi początek?

Może w Panteonie - choćby mały kątek?

Tu i teraz u żyjących, sił trzeba i mocy,

by ukazać Twe talenty, wyciągnąć z pomroczy

i na Panteonu piedestał postawić wysoko,

by widziało Ciebie wszystko i „szkiełko i oko”.

Niech tam dalej króluje wielka Maria Salomea - Pani Boska,

a dzisiaj ode mnie Cyprianie - to o Ciebie troska.

Z rozdartym troską sercem

Henryk

Przesłanie

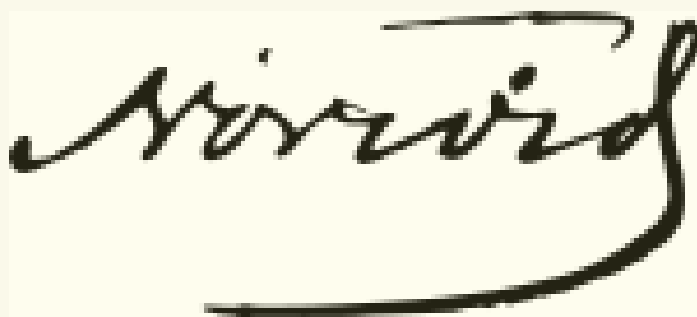
Wsluchany w muzykę Chopina, wpatrzony w fortepian, wzywałem dziś Ciebie, Cyprianie, wzywałem Twego nieprzeniknionego wielkiego Ducha. Ukazałeś mi się, przybrałeś kształty wspomnień, rymów, prawdy. Przybyłeś Pielgrzymie i poczułem pomost łączący nas, poetów, jak ten rozłożony ogromny szal. Szeptaleś mi na ucho Twe rozterki, Twe zwycięstwa i cierpienia.

Mój świat nie różni się od Twego. Układam rymy w momentach smutku, cierpienia, niesprawiedliwości. Natchnieniem są chwile miłości, uniesień i radości. Mam momenty wątpliwości i zagubienia.

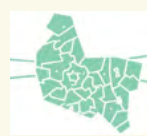
Pójdźmy razem, Pielgrzymie!

Poprowadź mnie do światła, wskaż drogę istnienia.

Henryk


 A black and white image of a handwritten signature in cursive script, which is the signature of Adam Norwid. The signature is written in dark ink on a light background.

Autograf Norwida. Źródło: Wikipedia





POECI Z WIELKOPOLSKI

Paweł Kościelski

Dedal

Dedal miał koncepcję:
tu – to – z tym połączyć,
skleić – tak a tak lecieć,
uciec według planu
z kreteńskiego więzienia.
Syn-dureń zaś runął w morze,
choć go Dedal ostrzegał,
choć mówił:
„Zniszczysz skrzydła,
jeśli wzlecisz za wysoko”.
Nie posłuchał...
Ikary nigdy nie słuchają.
Dedal miał koncepcję
i tyle z niej zostało
– granitowe wspomnienie,
na którym napisano:
„Bawił córki Kokalosa
– sycylijskie trzpiotki.
Bawił pod otwartym niebem
królewskie idiotki”.

* * *

Pochwała życia w spokoju
Wyrzucie za mury Parysa,
Troja się przy nim nie będzie upierać,
Hektor nie zginie, a Achilleś
żadna strzała nie będzie uwierać.
Niech bierze ze sobą Helenę i miecze,
poezję, prozę i Agamemnona
– dajcie nam żyć spokojnie, na świecie,

gdzie każdy Grek ze starości skona.
Może nie będzie to warte pieśni
i nigdy nie zdarzy się Eneida,
lecz Odys szybko wróci do domu,
nie spełni się co widziała Temida.

Apollo

Oto Apollo, kręci się wkoło,
wiruje w tańcu muzyką pijany,
przygrywa na lirze i razem z muzami
ogłusza sztuką, poezją, pieśniami.
A gdy resztę bogów na panteonie
lud w ziemi pogrzebie i zburzy pomniki,
tylko Apollo nam pozostanie,
wędrując za nami, jak wzrok Eurydyki.

Paweł Kościelski (urodzony 26 kwietnia 1987 roku w Ostrowie Wielkopolskim), absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza oraz Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, stypendysta Tajwańskiego Ministra Edukacji. W latach 2011-2012 studiował na National Sun Yat-sen University w Kaohsiung. Jego debiutanckie utwory ukazały się w antologii Pracownia Wiersza w trakcie festiwalu Wszystko jest Poezją w 2023 roku. Zawodowo zajmuje się tłumaczeniami ustnymi oraz tłumaczeniami pisemnymi tekstów specjalistycznych z języka angielskiego i mandaryńskiego, jest również autorem przekładów audiowizualnych.



Piotr Kwiatkowski**Pamięci Paula Celana**

I
do serca mówię baczność
jakby tak prosto było wykonać rozkaz
miłość

II
cisza wieczorem
ukamienowana
słowem – wierna przychodzi zawsze
choć
po niewczasie

III
biegnę w miejscu
do ciebie
dalej o mrok
choć zgubiłem różę
mam jeszcze ochłap języka

IV
jednym słowem
powiem
wszystko
i nic

V
wołam do myśli mojej
stop
zatrzymaj się

czasem płonę
relatywnie

VI
woda
obracam jej kształt
ociosany przez powietrze
oko nocy
zielone płynie
również pośrodku
nas

VII
ile jeszcze
czasu czasem potrzeba
by stanąć okoniem
na bezrybiu

ponoć
i rak chyba
VIII
krzyk nagle
na pół
dzielę go przez zero
po znaku równości
szept
zawsze blisko ucha
IX
kiedy spadnie

deszcz
pręty wody wokół
zamkną mnie w sobie
na świat
i na ciebie

* * *

motto: *Saget mir jemand, was die Minne ist; W.v.d. Vogelweide*

co noc, gdy mówię sobie
w myślach, że Cię kocham
wrastasz mi w serce
soczystym drzewem,
a Twoja twarz
z gniazdem uśmiechu
rośnie powoli
przy oknie
później otwierasz już
tylko nieśmiało usta
i miłość Ci cicho przechodzi
po wargach jak nieopierzone
pisklę



Piotr Kwiatkowski – ur. 1969, z wykształcenia germanista, miłośnik Tatr, pracuje w szkole, ucząc języka niemieckiego.



Postawy Cyncerona i Attycusa wobec zaangażowania w życie publiczne

Danuta Ewa Dachtera

Zaangażowanie... Uprzednio pisałam o sprzeciwie Owidiusza wobec traktowania miłości, literatury, życia jako rzemiosła. Inspiracją było dzieło Jacka Bocheńskiego *Nazo poeta* (1969). Bez zaangażowania, bez wyznawania wartości – jakości życia (w tym miłości i literatury, w której jest mądrość dotycząca także rozwijania talentu) sprzeciw nie przyniósłby owoców w postaci literatury, mającej odwagę i umiejętność mówienia prawdy o człowieku. Dlatego



Pomnik Juliusza Cezara w Rzymie. Źródło: Wikipedia

jej treść jest aktualna, pomimo upływu wielu stuleci. Zagadnienie zaangażowania dotyczy nie tylko osób piszących, dotyczy wszystkich. To, co robimy na co dzień może mieć przeciętny lub znacznie wyższy poziom. Zaangażowanie objawia się wobec tak zwanego życia publicznego, którego częścią jest polityka. I o tym będzie ten tekst. A co było inspiracją do jego napisania? Jacek Bocheński i jego książka *Boski Juliusz* (1961). Główną postacią utworu uczynił on Gajusza Juliusza Cezara (100? – 44p.n.e) oraz zagadnienie stawania się bogiem. W dziele *Boski Juliusz* występują inne ważne historycznie osoby. Taką niewątpliwie jest Marek Tulliusz Ciceron. Jacek Bocheński pisze, iż „antykwarium, autor niniejszego podręcznika dla miłośników boskości (...) będzie osobiście badał wszelkie dokumenty (...)”. Dodaje także, że „przedstawi państwu jedynie najciekawsze, oczyszczone z kurzu okazy. Może kto kupi?” Jednym z takich wartych zakupu okazów jawi się wzmiankowany wcześniej Marek Tulliusz Ciceron (106 – 43 p.n.e.). Jego postawa nacechowana zaangażowaniem daleka od kultu rzemiosła i przeciętności, konformizmu i pogodzenia się z zastanym. A przecież brak sprzeciwu jest... mile widziany. I tutaj pojawia się drugi bohater tego tekstu – Attykus oraz jego niezaangażowanie w sprawy publiczne. Były to czasy przemian ustrojowych w państwie rzymskim. „Antykwarium” przybliży je po zapoznaniu się z materiałami źródłowymi dotyczącymi Juliusza Cezara i jego epoki. Wśród źródeł poczesne miejsce zajmują pamiętniki boskiego Juliusza z wojny galijskiej oraz Pamiętniki z wojny domowej, Boski Juliusz Swetoniusza (w: *Żywoty cesarów*) oraz korespondencja Cyncerona do Attycusa i świadectwo, jakie wydał Attycusowi historyk Korneliusz Nepos, który uważał siebie za biografę. Materiał źródłowy jest wystarczający, aby móc nakreślić dwie, odmienne postawy wobec życia publicznego: zaangażowaną - Cyncerona i niezaangażowaną - Attycusa. Przybliżę je nieco. Głównym „akto-

rem” tych czasów był Gajusz Juliusz Cezar i w kontekście jego działań oraz ich konsekwencji, upadku republiki i umacniania się faktycznego jedynowładztwa, unaoczniała się często postawa Cyncerona i Attycusa.

Boski Juliusz, władca starożytnego Rzymu, de facto zmienił ustrój w swojej ojczyźnie. Inna rzecz, że zapłacił za to życiem. Jednak jego następca Oktawian August, pierwszy cesarz rzymski, miał już utorowaną drogę do jedynowładztwa i bycia bogiem dla swoich poddanych. Zapoczątkował ustrój zwany pryncypatem. Działania Cezara znakomicie opisuje Jacek Bocheński w *Boskim Juliuszu*. Interesujący jest kontrast między okrucieństwem, które Gajusz Juliusz Cezar ujawnił podczas wojny galijskiej, a postawą wybaczenia, tolerancji, którą ukazał w życiu publicznym po słynnym przekroczeniu Rubikonu w 49 roku p.n.e. Były to czasy faktycznego upadku republiki i walki o dominację między wodzami. Teoretycznie doszło do starcia między obrońcą idei republikańskiej – Pompejuszem i jego stronnikami, a Cezarem dążącym do dyktatury. Było to starcie wodzów, posiadających własne legiony – była to walka o władzę. Oczywiście, wśród obrońców republiki znaleźli się także ludzie jej ustrój uważający za wartość, o którą warto walczyć. Z tych pobudek stanęli oni po stronie Pompejusza, przeciw Cezarowi. Wśród nich był znany powszechnie Marek Brutus (i ty, Brutusie przeciwko mnie), który wraz z zamachowcami podjął się rozwiązać problem dyktatury, zabijając jedynowładcę. Zamachowcy nie zostali przyjęci owacjami w senacie, kiedy usiłowali ogłosić powrót wolności, a człowieka o imieniu Cynna, omyłkowo wziętego za ich stronnika, lud rzymski rozszarpał na ulicy. Bowiem Gajusz Juliusz Cezar był skutecznym politykiem i chociaż nie otumanił senatorów, to potrafił podporządkować sobie senat, utrzymując dodatkowo instytucje republikańskie, a co ważne pozyskał miłość wojska oraz ludu. Jego tolerancja, wybaczenie, wręcz doskonałość moralna – *Clementia*, wydała się cechą niezwykłą – boską. Po śmierci został zaliczony w poczet bogów. Na jego cześć zbudowano świątynię, wybito monetę z wizerunkiem świątyni i napisem *Clementiae Caesaris*. Gajus Swetoniusz Trankwillus, w swoim *Boskim Juliuszu* – będącym rozdziałem *Żywotów cesarów* pisze: „Umarł Cezar w pięćdziesiątym szóstym roku życia i w poczet bogów został zaliczony nie tylko przez formalną uchwałę senatorów, lecz również przez głębokie przekonanie ludu”. Takim człowiekiem był przeciwnik obrońców republiki i takiej osobie musieli oni się sprzeciwić.



Cynceron. Źródło: Wikipedia

Do zwolenników ustroju republikańskiego należał zaangażowany w życie publiczne Marek Tulliusz Cynceron, mąż stanu, uprawiający działalność polityczną i sądową oraz wybitny filozof. Jacek Bocheński zwraca uwagę na styl pisania Cyncerona – długie zdania, pełne formalnych popisów i przeciwstawia je krótkim, wręcz telegraficznym komunikatom Cezara. Ale przecież obaj nie pisali dla siebie, lecz z myślą o czytelniku, na którym chcieli wywrzeć wrażenie, ściśle określone wrażenie. To wbrew pozorom podobieństwo, nie różnica. W czym więc różnica?

W wierze i niewierze w republikę. I o tym także można znaleźć wzmianki w *Boskim Juliuszu* Jacka Bocheńskiego. Podobno Cezar wypowiedział następujące słowa: „Republika jest niczym, nazwą bez ciała i kształtu”. Cezar pomimo takiego stanowiska szanował pozory, zachował instytucje republikańskie i dotychczasowe nazwy. Był liderem stronnictwa popularów. Cynceron pragnął ducha republiki, a nie jego pozorów, stał na czele stronnictwa optymatów. Pomimo, że nie doszło do otwartej konfrontacji między nimi, Cyncero został skazany na wygnanie „rękoma” Klodiusza, poplecznika Cezara. Po powrocie z wygnania zmienił częściowo po-

głądy, czego wyrazem była „palinodia”, wspomniana w listach do Attykusa, zwłaszcza, że zawiódł się na optymaty, którzy nie stanęli w jego obronie oraz na sprzymierzonym z Cezarem Pompeuszem. W związku z zaistniałymi zmianami przechodził szamotaninę uczuciową, doświadczał różnych przeżyć. Im bardziej pozycja Cezara umacniała się, tym bardziej Ciceron stawał się oportunistą, do czasu, kiedy doszło do wojny domowej. Wówczas opowiedział się ostatecznie po stronie Pompejusza. Po jego klęsce pod Farsalos, Ciceron powrócił do Italii. Uzyskał amnestię od Cezara i poświęcił się filozofii. W liście skierowanym do Cicerona, przed jego dołączeniem do Pompejusza w Grecji, Cezar nakłaniał go do neutralności i obiecywał swoją przyjaźń. Ciceron pozostał jednak wierny swoim ideałom... Po powrocie z wygnania podjął się zaniechanej pracy nad traktatem *O państwie*, który ukończył około 54 roku p.n.e.

W traktacie pochwalał postawę zaangażowania w życie publiczne: „Dość jest wiedzieć, iż natura obdarzyła człowieka taką koniecznością cnoty oraz miłością pracy dla dobra ogółu, iż siła ta góruje nad wszelkimi powabami i zachwykami rozkoszy”.

Inna była postawa jego przyjaciela Attycusa – świadomie niezaangażowanego w życie publiczne. Jacek Bocheński przywołuje pochlebne świadectwo historyka Korneliusza Neposa o nim jako o osobie uzdolnionej i wykształconej oraz zamożnej. W przeciwieństwie do Cicerona Attycus nie zabiegał o stanowiska urzędowe i tytuły. Zajmował się finansami. Dawał pieniądze tym, którzy przegrywali w zmaganiach politycznych. Wspomógł pieniądze także Cicerona, udającego się na wygnanie. „W ogóle Attycus był indywidualistą”. Interesujące jest także, że podczas organizowanych przez niego przyjęć tematem wiodącym była literatura i poezja. Pomimo niezaangażowania był baczny obserwatorem rzeczywistości, czego przejawem jest zaginiona książka - spis ważniejszych wydarzeń, ułożony chronologicznie.

Napisał pracę w języku greckim o konsulacie Cicerona. Jacek Bocheński zauważa: „Jakoś przecież ten Attycus imponował Ciceronowi, jakoś go pociągał, niepokoił swą epikurejską niezawistością. Ciceron szukał sposobu na epokę i nie mógł znaleźć. Attycus znalazł sposób. Ciceron mówił: Nie! Ja tego sposobu nie użyję.” Z listów Cicerona do Attycusa przebija szacunek dla niezawodnego przyjaciela. Nie pozostał żaden list Attycusa do Cicerona.

Korneliusz Nepos, także niezaangażowany w sprawy publiczne, na cześć Attycusa napisał pełen entuzjazmu panegiryk. Można się domyślać, że pochwalał w ten sposób własną postawę. Książka Jacka Bocheńskiego *Boski Juliusz* napisana w 1961 roku, ponad 60 lat temu, to tekst nadal aktualny, przyczyna licznych refleksji dotyczących postaw ludzi w społeczeństwie i wobec niego, wpływu jednostki na bieg historii, ale także przyczynę do zastanowienia się nad własnym życiem. Chociaż to nowe czasy, to nadal ten sam - stary człowiek.

Bibliografia

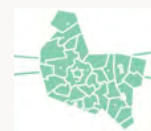
Jacek Bocheński, *Boski Juliusz*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1991.

Ciceron, *O państwie. O prawach*, Hachette Polska, Warszawa 2023.

Gajus Swetoniusz Trankwillus, *Boski Juliusz w: Żywoty cesarów*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo 1972.



Ewa Danuta Dachtera - psycholog, biolog, poetka, autorka książek poetyckich „*Moje Macondo*”, „*Więź poza śmierć*”.



Jarosław Rostkowski

Marcin Rożek – wielkopolski artysta, powstaniec, patriota

Marcin Rożek urodził się 8 listopada 1885 roku w Kosieczynie, w ówczesnym powiecie międzyrzeckim (Kustchen, Kreis Meseritz) jako najstarszy spośród siedmiorga dzieci Andrzeja i Katarzyny Rożek, z domu Anders. Pochodził z ubogiej rodziny. Jak sam wspominał - *rodzice bardzo o to dbali, aby nam, siedmiorgu dzieciom zapewnić atmosferę miłości i polskości*¹. Wpojona przez nich miłość do ojczyzny odcisnęła piętno na życiu całego rodzeństwa, w tym także Marcina, który pozostał wierny patriotycznym ideałom nawet po osadzeniu w niemieckim obozie koncentracyjnym.

W 1891 roku, podążając za chlebem, familia Rożków przeprowadziła się do Zbąszynia. Dwa lata później los skierował ich do siedziby powiatu babimojskiego – Wolsztyna, gdzie ojciec podjął pracę jako robotnik kolejowy. W mieście nad Dojcą przyszły rzeźbiarz uczęszczał do szkoły powszechnej i spędzał czas wolny z rówieśnikami. Wtedy też został dostrzeżony jego talent artystyczny. Bardzo często wykorzystywał swoje zdolności podczas zabaw z przyjaciółmi, tworząc rysunki i proste figurki. Szczególny dar zauważyli także nauczyciele oraz lokalny proboszcz. Za ich namową, po ukończeniu szkoły powszechnej w 1900 roku, młody Rożek rozpoczął naukę w warsztacie kamieniarsko-sztukatorskim prowadzonym przez Piotra Gimzickiego w Poznaniu przy Wilhelmsplatz². Po zdaniu egzaminu czeladniczego w 1903 roku wyjechał do Wałbrzycha, gdzie przez pewien czas pracował jako rzeźbiarz.

W 1904 roku uzyskał stypendium Towarzystwa Naukowej Pomocy im. Karola Marcinkowskiego. Dzięki przyznanej pomocy mógł podjąć studia artystyczne. Przez rok uczęszczał do berlińskiej Kunstgewerbeschule, następnie przeniósł się do Monachium. Miasto *to przez cały XIX wiek ściągало artystów, a za nimi i studentów szkół artystycznych. Przybywało tu wielu polskich twórców: Józef Brandt, Józef Chelmoński, Maksymilian i Aleksander Gierymscy i inni*³. Tam, w Akademii Sztuk Pięknych, kształcił się w klasie rzeźbiarskiej prowadzonej przez Wilhelma Rümanna, a następnie przez Erwina Kurza.



Marcin Rożek w okresie studiów.

W 1909 roku Rożek ukończył studia i powrócił na pewien czas do Wolsztyna, jednak wkrótce wyjechał do Paryża, aby tam doskonalić warsztat. W 1911 roku wrócił na stałe na ziemię ojczyste, a dwa lata później otworzył swoją pierwszą pracownię w Poznaniu. W stoli-

1 M. Turwid, Światła wspomnień, [w:] Poznańskie wspominki z lat 1918-1939, red. T. Kraszewski, T. Świtała, Poznań 1973, s. 275.

2 Obecnie Plac Wolności.

3 L. Wilkowa, Marcin Rożek 1885 -1944, Poznań 1985, s. 5.

cy Wielkopolski zastał go początek I wojny światowej. Chcąc uniknąć służby w armii niemieckiej, skutecznie symulował chorobę żołądka. Wkrótce po korzystnym dla niego odrzuceniu przez komisję poborową artysta wyjechał na Dolny Śląsk do miejscowości Gräschine⁴, gdzie zatrzymał się u zaprzyjaźnionej rodziny Haertlé. Z powodu braku możliwości rzeźbienia skupił się przez pewien czas na malarstwie, tworząc m.in. obrazy *Zazdrość* oraz *Śmierć Leszka Białego pod Gąsawą*. W sierpniu 1916 roku powrócił do Poznania, gdzie oczekiwał zakończenia Wielkiej Wojny.

Po wybuchu powstania wielkopolskiego, Marcin Rożek oraz jego młodsi bracia - Józef i Kazimierz wstąpili ochotniczo w szeregi powstańców, przyczyniając się tym samym do odzyskania przez Wielkopolskę niepodległości. Niestety, brak dokumentów oraz nieprecyzyjne relacje utrudniają dokładne określenie szlaku bojowego, którzy przebył. Zachowała się natomiast fotografia przedstawiająca artystę w mundurze Wojsk Wielkopolskich.



Marcin Rożek w mundurze powstańczym.

W 1919 roku artysta wszedł razem z Wiktorem Gosienieckim oraz Janem Wronieckim w skład komisji mającej na celu utworzenie w Poznaniu uczelni artystycznej. Ich inicjatywa doprowadziła do powstania Szkoły Sztuk Zdobniczych, która rozpoczęła działalność 1 listopada 1919 roku. Został pierwszym kierownikiem wydziału rzeźby, jednak szybko, już po roku, zrezygnował z powierzonej funkcji i poświęcił się własnej twórczości.

Lata dwudzieste XX wieku były okresem szczególnie płodnym w jego twórczości. *M. Rożek, dojrzały i ukształtowany pod względem artystycznym rzeźbiarz, wypracował własny styl nawiązujący do ogólnie panujących tendencji w sztuce polskiej*⁵. Liczne zamówienia zaowocowały powstaniem szeregu pomników. Do najbardziej znanych zaliczyć można m.in.: pomnik Fryderyka Chopina (marmur, 1923, Poznań), *Siewca* (gips – 1923, brąz – 1929, Luboń koło Poznania), kopia rycerza z poznańskiego pręgierza (piaskowiec, 1925), pomnik Bolesława Chrobrego w Gnieźnie (gips – 1925, brąz – 1929, zniszczony podczas drugiej wojny światowej), *Pomnik Powstańców Wiel-*

Pomnik Bolesława Chrobrego, Gniezno..

⁴ Obecnie Grzeszyn w powiecie wołowskim.

⁵ J. Mulczyński, *Marcin Rożek 1885-1944*, [w:]

Wielkopole XX wieku, red. A. Gulczyński, Poznań 2001, s. 425.

kopolskich (piaskowiec, 1929, Szamotuły, zniszczony podczas drugiej wojny światowej), *Symbole rolnictwa i przemysłu* prezentowane na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu (sztuczny kamień, 1929, zniszczone). Uwieńczeniem tego rodzaju twórczości był angaż przy realizacji *Pomnika Najświętszego Serca Pana Jezusa* w Poznaniu (brąz, 1932, zniszczony podczas drugiej wojny światowej), dla którego artysta wykonał postać Chrystusa, medaliony papieża Piusa XI oraz prymasa E. Dalbora, a także płaskorzeźby znajdujące się na frontальной ścianie łuku triumfalnego. Tył pomnika ozdobiła swoimi pracami inna wielkopolska artystka – Kazimiera Pajzderska.

Marcin Rożek był także autorem dzieł sakralnych oraz cmentarnych - tu warto wymienić szereg tond, m.in. *św. Antoni z Dzieciątkiem* (drewno, 1919, Biskupice Ołoboczne), *Madonna z Dzieciątkiem i króliczkiem* (drewno, 1924, Wolsztyn), *Madonna z Dzieciątkiem i ptaszkiem* oraz *Madonna z Dzieciątkiem ptaszkiem i kogucikiem*, występujące w kilku różnych wersjach. Wśród pozostałych prac o tej tematyce znalazły się także figury świętych, m.in. *św. Stanisława*, *Wojciecha*, *Piotra* i *Pawła* z wieży kościoła pw. *św. Marcina* w Poznaniu (sztuczny kamień, 1928, zniszczone podczas drugiej wojny światowej), figurę *św. Franciszka z Asyżu* (drewno, 1934, Kórnik), figurę *Matki Bożej Królowej Korony Polskiej* (1927, Kartuzy) oraz nieukończoną przez wybuch II wojny światowej drogę krzyżową do kościoła *św. Mikołaja* w Krobii. Do dzisiaj możemy podziwiać także niektóre nagrobki wykonane przez rzeźbiarza. Warto w tym miejscu wymienić chociażby grób *Zofii Adamkowej* (1925) w Grodzisku Wielkopolskim oraz grób prezydenta Poznania *Jarogniewa Drwęskiego* (1921), który znajduje się na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan w Poznaniu.

Istotną częścią twórczości Marcina Rożka były rzeźby portretowe. Przybierały one różną formę: głów, popiersi, medalionów odzwierciedlających zmienny styl artysty. Do najistotniejszych portretów zaliczyć można popiersia *Władysławy* i *Leszka Mieczkowskich* (marmur, 1911), popiersia *K. Miarki*, *J. Lompy*, *ks. Londzina* oraz *P. Stalmacha* (brąz, 1930) wykonane do sali Sejmu Śląskiego w Katowicach, głowę *Starca* (brąz, 1923), *Jagódki Wyszomirskiej* (marmur, 1923), *Kazimierzy Miśkiewiczowej* (marmur, 1923), oraz medaliony przedstawiające *Antoniego Rejmana* (brąz, 1924) oraz *Irenę Rejmanową* (brąz, 1924).



Symbole rolnictwa i przemysłu, 1929.



Pomnik Najświętszego Serca Pana Jezusa w Poznaniu (brąz, 1932).

Rożek tworzył również rzeźby pełnoplastyczne o różnej tematyce. *Mieszko i Dąbrówka*, *Ligia i Ursus* (1924), *Mazepa* (około 1925), *Kobieta z psem i kotem* (1929) doczekały się kilku wersji wykonanych w drewnie, gipsie i brązie.



Popiersie Leszka Mieczkowskiego.

Warto nadmienić, że artysta poza rzeźbieniem zajmował się także malarstwem, zwłaszcza we wczesnych latach kariery artystycznej. Podobnie jak w przypadku rzeźb często tworzył portrety. Wśród nich znajdziemy m.in. portrety Melanii Tuszewskiej (olej na płótnie, 1919), inż. Stefana Duchowskiego (olej na płótnie, 1913), ks. Kostrzewskiego (olej na płótnie, 1917). Poza nimi stworzył kilka kompozycji figuralnych. Jedną z nich, *Piast witający gości* (olej/tempera, sklejką, 1934) wita do dzisiaj gości Muzeum Marcina Rożka, robiąc wrażenie swoimi rozmiarami.

Jako aktywny i płodny twórca Marcin Rożek prezentował swoje dzieła na wystawach krajowych i zagranicznych, m.in. w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Łodzi, Padwie, Brukseli i Malmö. W latach 1925-1929 należał do Grupy Plastyków

Wielkopolskich „Plastyka”, w której przez pewien czas pełnił rolę prezesa.

Na początku lat 30. XX wieku Marcin Rożek postanowił powrócić do Wolsztyna. Jako introwertyk dużo bardziej cenił sobie spokój tego niewielkiego miasteczka położonego na zachodnich kresach Wielkopolski niż zgiełk Poznania. W 1931 roku wykupił parcelę położoną pomiędzy brzegiem Jeziora Wolsztyńskiego oraz ulicą 5 Stycznia. Wkrótce potem rozebrał domek stojący na działce i przystąpił do budowy willi, którą stworzył według własnego pomysłu. Dom został ukończony w latach 1933-34. Znajdowały się w nim dwie pracownie, o których, jak sam wspominał, marzył całe życie. Pierwsza z nich miała ponad 5 metrów wysokości i obejmowała przestrzeń piwnicy i parteru. W niej przygotowywane były m.in. wspomniane stacje drogi krzyżowej oraz głowa Karola Kurpińskiego (marmur, 1938), która trafiła do Teatru Wielkiego w Poznaniu. Na piętrze znajdowała się pracownia malarska, która pełniła jednocześnie funkcję bawialni, w której artysta podejmował swoich gości. Z okien pomieszczenia rozpościerał się widok na ogród ciągnący się aż do brzegów jeziora.

Willi oraz ogród udekorowane były pracami rzeźbiarza wykonanymi ze sztucznego kamienia. Na frontowej ścianie umieszczone zostały postacie młodej kobiety i mężczyzny oraz dziewczęca główka, a także wizerunek sowy symbolizujący mądrość. Dzieła o charakterze symbolicznym znalazły się także na elewacji od strony ogrodu. Na zewnętrznych pilastrach ustawiono rzeźby



Pracownia artysty.

lwicy oraz wilka – strażników domostwa. Poniżej znalazły się trzy płaskorzeźby stanowiące alegorie ludzkości, świata sztuki oraz świata nauki. Pod nimi Rożek zamieścił pięć głów

męskich, nawiązując do przemijania czasu. Podobny wydźwięk miały rzeźby przedstawiające młode i stare małżeństwo, które zostały ustawione w przylegającej do willi części ogrodu przypominającej atrium.

W drugiej części ogrodu, wzdłuż ścieżki prowadzącej w stronę jeziora ustawione zostały głowy osób inspirujących rzeźbiarza. Ta swoista „galeria sław” ulegała na przestrzeni lat zmianom zarówno w ilości portretów (na zdjęciach archiwalnych widać zestawy sześciu lub ośmiu głów), jak i w osobach, które zostały przedstawione przez Marcina Rożka.

Nad brzegiem Jeziora Wolsztyńskiego artysta stworzył taras. W jego obrębie umieścił kamienne ławy i stoliki oraz rzeźby przedstawiające dziewczynkę z rybką oraz chłopca z ptakiem wodnym⁶. Warto w tym miejscu nadmienić, że wielu właścicieli działek sąsiadujących z jeziorem wznosiło drewniane altanki nad brzegiem akwenu, nadając tej części Wolsztyna niesamowity urok.

W 1936 roku Marcin Rożek został zaproszony przez poznańskiego pisarza, Józefa Kisielewskiego, w podróż po nazistowskich Niemczech. Owocem tej wyprawy była wydana w 1938 roku książka pt. „Ziemia gromadzi prochy”.

Publikacja została zakazana w III Rzeszy, a autor oraz osoby współpracujące przy jej powstaniu były poszukiwane przez niemieckie służby bezpieczeństwa po napaści Niemiec na Polskę w 1939 roku. W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Marcin Rożek zdał sobie sprawę, że jako powstaniec wielkopolski, polski artysta i towarzysz Kisielewskiego będzie osobą ściganą. Postanowił wyjechać z Wolsztyna już pierwszego dnia wojny, jednak po kilku dniach powrócił do miasta. Kolejne miesiące upływały artyście na życiu w ukryciu. Posługiwał się fałszywymi dokumentami, często zmieniał także miejsce pobytu, ukrywając się w Przemęcie, Poznaniu, Objezierzu oraz Tarnowie Podgórnym. Obrona strategia była skuteczna do 1942 roku⁷. Został wtedy aresztowany jako Józef Szulc. Wkrótce osadzono go w Forcie VII w Poznaniu, gdzie odkryto jego prawdziwą tożsamość. Kiedy komendant obozu dowiedział się, z kim ma do czynienia, zaczął dostarczać artyście stare pocztówki, aby ten malował na ich podstawie obrazy. Poza tymi zleceniami Marcin Rożek tworzył także w konspiracji szkice, projekty architektoniczne oraz portrety współwięźniów.

Mimo skrajnie trudnej sytuacji artysta nie przestawał być patriotą, starając się wspierać mentalnie współwięźniów oraz bliskich. Wartym odnotowania wydarzeniem, pokazującym jak silny kręgo-



⁶ Rzeźby znajdują się obecnie przy schodach prowadzących z willi do ogrodu

⁷ Niektóre relacje sugerują, że Marcin Rożek został aresztowany jesienią 1941 roku.



słup moralny miał nasz bohater, było pozostanie przy współwięźniach, pomimo możliwości ucieczki z poznańskiego obozu. W liście kierowanym do przyjaciół, którzy przygotowywali cały plan, napisał: *Ja was bardzo przepraszam, ale musicie mnie zrozumieć, że tego zrobić nie mogłem. I nie róbcie tego więcej, tu też jestem potrzebny*⁸. Niedługo po tym wydarzeniu po raz kolejny udowodnił, jak dumnym był Polakiem, odmawiając komendantowi stworzenia portretu Adolfa Hitlera. Pod koniec lipca 1943

roku Marcin Rożek został przetransportowany do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. *Nie został wysłany do obozu za to, że odmówił „wypacykowania portretu w ząbek czesanego wodza”, ale za to, że był patriotą polskim i powstańcem*⁹. Podłe warunki bytowania w obu niemieckich obozach odcisnęły piętno na jego zdrowiu. Wiosną 1944 roku rzeźbiarz trafił do szpitala obozowego mieszczącego się w bloku 20. W tym miejscu zmarł 19 maja 1944 roku.

W czasie okupacji wolsztyńska willa Marcina Rożka została zamieniona przez Niemców w kasyno oficerskie. Część prac znajdujących się w budynku i ogrodzie została zrabowana lub zniszczona przez okupantów. Artysta nigdy nie założył swojej własnej rodziny, dlatego po wojnie jego siostry, Jadwiga oraz Maria, rozpoczęły staranie o odzyskanie budynku. Gdy to im się udało, przystąpiły do tworzenia prywatnej kolekcji dzieł tragicznie zmarłego brata, którą po latach postanowiły przekazać razem z budynkiem miastu. W 1968 roku dokonano oficjalnego otwarcia Muzeum Marcina Rożka, które obecnie jest jednym z trzech oddziałów Muzeum Regionalnego w Wolsztynie¹⁰. Instytucja nadal aktywnie przeszukuje archiwa i portale aukcyjne w celu uzupełniania wiedzy o życiu i twórczości swojego patrona. Położona nad Jeziorem Wolsztyńskim willa jest miejscem, w którym prezentowane są wystawy czasowe przybliżające historię lokalną oraz dorobek artystyczny twórców z bliższej i dalszej okolicy, organizowane są spotkania oraz odczyty. Urokliwy ogród przyciąga o każdej porze roku, a zaciszne położenie pozwala zrozumieć, dlaczego Marcin Rożek uznał, że właśnie tutaj znajdowało się jego wymarzone miejsce na ziemi.

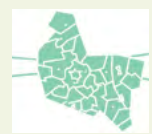


Jarosław Rostkowski

⁸ List Jadwigi Rożek do redakcji Za i Przeciw. Tygodnik Ilustrowany z dnia 02.03.1972 r., Zbiory Muzeum Regionalnego w Wolsztynie

⁹ List współwięźnia Franciszka Glury do Jadwigi Rożek z dnia 28.07.1969 r., zbiory Muzeum Regionalnego w Wolsztynie.

¹⁰ Pozostałe oddziały to Muzeum dr. Roberta Kocha oraz Skansen Budownictwa Ludowego Zachodniej Wielkopolski.





Odrodzony Rycerski Zakon Bibliofilski

Sławomir Krzyśka

W roku 1930 z inicjatywy prof. Kazimierza Witkiewicza erygowano w Krakowie Rycerski Zakon Bibliofilski z Kapitułą Orderu Białego Kruka. Zrzeszał on miłośników książki z różnych środowisk: profesorów krakowskich uczelni, bibliotekarzy, antykwariuszy, artystów malarzy i grafików, drukarzy i intrologatorów, w większości autorów książek i artykułów. W 1963 roku Zakon został „zakryty” przez trzech Braci Zakonu z Wielkim Mistrzem na czele, a krótkotrwałą aktywność bibliofilską w nowych warunkach zakończyła śmierć dziewięćdziesięciodwuletniego Kazimierza Witkiewicza 21 października 1973 roku.

Kontynuatorami działalności Zakonu stali się Tadeusz Eugeniusz Witkiewicz, syn Kazimierza oraz jego żona Urszula Waleria z domu Dylska. Od 1974 roku organizowali oni w marcu każdego roku spotkania bibliofilów w Gnieździe Białego Kruka, które nazwano „Imieninami Książki”, a w maju i październiku organizowali kolejne bibliofilskie zebrania.

Lata dziewięćdziesiąte XX wieku przyniosły zwiększone zainteresowanie bibliofilów krakowskich historią Zakonu, a nadzwyczaj efektywna praca i działalność Urszuli oraz Tadeusza Witkiewiczów doprowadziły do odrodzenia Zakonu, który od 1992 roku stał się Odrodzonym Rycerskim Zakonem Bibliofilskim w Krakowie, kontynuującym swoją misję i działalność zgodnie z Konstytucją Zakonu z 1930 roku. Od 2001 roku Wielkim Mistrzem

Zakonu jest dr. inż. Jerzy Duda wspierany przez dostojne grono Braci z nadanymi za szczególne osiągnięcia w pracach na rzecz Pani Książki godnościami, w tym m.in. Brat: Kanclerz, Pieczętarz, Jałmużnik, Miniaturzysta oraz Damy Książki, a także Dostojne Makulatury. Pielęgnują oni tradycję, zachowują stroje oraz insygnia zaprojektowane przez założyciela Zakonu.



Na zdjęciu od lewej siedzą: Kanclerz Zakonu Andrzej Gaczoł, Brat Arcykustosz Zdzisław Pietrzyk. Stoją od lewej: Sławomir Krzyśka z patentem Dostojnej Makulatury w Zakonie, Brat Miniaturzysta Kazimierz Wiśniak, Wielki Mistrz Zakonu Jerzy Duda. Kraków, Camelot w Zaułku Niewiernego Tomasza, 14.10.2022 r.

Fot. Władysław Malec



Imieniny Książki w Camelocie, Kraków, 14.03.2024 r. Fot. Władysław Malec



Rytualne zapalenie świec w lichtarzach trójdzielnych podczas zmyszenia (spotkania) w Camelocie. Na zdjęciu od lewej: Brat Arcykustosz Zdzisław Pietrzyk, Wielki Mistrz Zakonu Jerzy Duda, Pieczętarz Zakonu Piotr Dobosz, Kanclerz Zakonu Andrzej Gaczoł. Kraków, 16.11.2023 r.

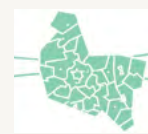
Fot. Władysław Malec

Uroczyste spotkania zakonne nazywane są zmyszeniami (od symbolu myszki bibliofilskiej, przejętej z krakowskiego Towarzystwa Miłośników Książki). Wszystkich łączy naczelną zasadą zawartą w Konstytucji Zakonu: „Najwyższą cnotą Zakonu jest miłość do książek”.

Wspomniane zmyszenia stanowią tylko część różnorodnej działalności. Ważną jej częścią było organizowanie wystaw i prelekcji we współpracy z bibliotekami i jednostkami kultury, w tym m.in. z Biblioteką Jagiellońską, Biblioteką Główną Akademii Górniczo-Hutniczej, Domem Kultury „Podgórze”. Na wystawach prezentowano cenne pozycje ze zbiorów bibliofilskich związane z pracami konfraterni, a także historią polskiej książki. Bracia Zakonni i Damy Książki biorą też czynny udział w konferencjach naukowych, sympozjach, zebraniach i zjazdach miłośników książki w kraju i za granicą, wygłaszając odczyty i referaty. Starają się również propagować idee bibliofilskie w prasie, radiu i telewizji. Podjęmowano także inicjatywy, z sukcesem, przygotowania wystawy maszyn, sprzętu i urządzeń z zakresu drukarstwa i introligatorstwa, poszerzenia zainteresowań kolekcjonerskich w myśl hasła „miłość do książek nie jedno ma imię”. Nie ustają też działania mające na celu utworzenie muzeum książki, której Kraków był kolebką, a o które już w latach pięćdziesiątych XX wieku upominał się Kazimierz Witkiewicz

Na zakończenie wspomnę jeszcze o istnieniu bogatego archiwum, gdzie pod opieką Wielkiego Mistrza Jerzego Dudy gromadzone są materiały związane z działalnością Zakonu, będące częścią dziejów polskiego bibliofilstwa, miłośnictwa książek, a tym samym polskiej książki.

Sławomir Krzyśka
Dostojna Makulatura Zakonu





Beata Bednarowska

Siła słów i znaczeń między językami - zanurzenie w tłumaczeniu literackim i tłumaczeniu reklamy

„Niełatwo jest cudze pisma przekładać tak, by miejsca, które w obcym języku dobrze wyrażono, zachowały tę samą ozdobność w tłumaczeniu, ponieważ każdy język ma różne właściwości swoich wyrazów”.

(Hieronim ze Strydonu, patron tłumaczy)

W słowach kryją się znaczenia, mają więc słowa swoją moc oddziaływania, perswazji, porozumienia i zrozumienia, nieraz są też zabarwione ideologicznie. Literatura każdego narodu jest integralnym elementem jego kultury i dzięki przekładom na inne języki jej oknem na świat. Chociaż sztuka translatorska nie jest łatwa, to tłumaczenia literackie umożliwiają dotarcie do szerokiego grona odbiorców poza granicami kraju. Tłumacze są więc niejako architektami pomostów literackich i przewoźnikami słów i znaczeń. Henryk Bereska, tłumacz literatury polskiej na język niemiecki pisał: **„Byłem przewoźnikiem, wiozłem cenne ładunki na drugi brzeg, w niemiecki las liter, słowa polskiej poezji”**. Zarówno pisanie tekstów, jak i ich przekład to proces twórczy, a jak każda praca twórcza wymaga on wrażliwości językowej, wnikliwego odczytania tekstu, wyobraźni, zacięcia stylistycznego oraz elastycznego myślenia. Andrzej Sapkowski pisał: **„Sztuką translatorską mam za Sztuką przez duże S”**.

Słowa bywają wieloznaczne, odwołują się do kontekstu, funkcjonują w innej kulturze i mogą w ogóle nie mieć dokładnych ekwiwalentów w języku docelowym. Podczas przekładu trzeba zadbać o odpowiedni styl, słownictwo i frazeologię. Język cały czas ewoluuje, pojawiają się w nim nowe pojęcia, na przykład zapożyczenia z innych języków. Indyjska krytyczka kultury Gayatri Chakravorty Spivak twierdzi, że **„przekład jest najintymniejszym aktem czytania”**, natomiast Günther Grass uważał: **„Tłumaczenie to to, co zmienia wszystko, aby nic się nie zmieniło”**. Przykładem dwuznaczności jest słowo „pokój”: raz będzie ono w języku niemieckim „Zimmer” lub „Raum”, a kiedy indziej może oznaczać „Frieden”. Słowa „pokój” (pomieszczenie w domu = das Zimmer) i „pokój” (na świecie = der Frieden) to ciekawy przykład słów o różnych znaczeniach, taka dwuznaczność to homonimia. Ciekawe relacje między słowami są często doceniane na przykład przez twórców reklamy, poetów czy dziennikarzy. W przypadku tekstu reklamowego może to być chwytliwość, atrakcyjność, zwięzłość, gra słów i wizualizacja, nierzadko użycie neologizmów, perswazja. Przykładem mogą być poniższe reklamy, które widziałam w jednym z niemieckich miast. Oprócz neologizmów („sich löffeln”, „sich umwarmen”) i gry słów jest obraz, czyli ciekawa wizualizacja. To element, który pomaga w zrozumieniu treści i nadaje koloryt sile przekazu:



Foto 1



Foto 2



Foto 3

Foto 1: Propozycja tłumaczenia: **Posmakuj (Skosztuj) na ciepło**

Foto 2: Propozycja tłumaczenia: **Otuł się ciepłem**

Foto 3: Propozycja tłumaczenia: **Smacznie i ciepło na sercu**

Tłumaczenie literackie nie polega na zastępowaniu po kolei słów oryginału, ale jak najwierniejszym oddaniu zawartych w nim sensów, z uwzględnieniem właściwego stylu i tła kulturowego oraz środków wyrazu artystycznego. Ważna jest przy tym zręczność wyrażania myśli, wyszukiwanie wyrazów bliskoznacznych i najlepiej pasujących do danego kontekstu, rodzaju tekstu czy adresata. Nie oznacza to jednak, że do procesu tłumaczenia nie można podejść elastycznie i twórczo. Jednym z ćwiczeń na moim seminarium magisterskim było zadanie przetłumaczenia tekstu na język angielski w ... stylu Hemingwaya, czyli konkretnie, prosto i zwięźle. Język jest plastyczny, a techniki tłumaczenia mogą być różne, na przykład dzielenie lub łączenie słów, uogólnianie czy zmiana kolejności, zastępowanie, upraszczanie czy uzupełnianie, jak też zmiana form gramatycznych czy części mowy. Strona bierna jest w języku niemieckim i angielskim znacznie chętniej stosowana niż w języku polskim. Jako przykłady mogą posłużyć zdania ze stroną bierną w oryginale niemieckim, w książce Heinricha Bölla *Ansichten eines Clowns* i inne struktury gramatyczne w jej polskim przekładzie, dokonanym przez Teresę Jętkiewicz w książce *Zwierzenia kłowna*:

język niemiecki: „Wird da gekämpft?” (str. 165), **język polski:** „Biją się?” (str. 160)

Innym przykładem z powyżej wymienionych książek na zastąpienie niemieckiej strony biernej innymi formami/strukturami, w języku polskim są zdania:

język niemiecki: „Sie duldeten nicht, dass ein neues Kartenspiel gekauft wurde”. (str. 33)

język polski: „Nie zgodziła się na kupienie nowej talii kart”. (str. 26)

W pierwszym przykładzie użyto w polskim tłumaczeniu strony czynnej, natomiast w drugim struktury nominalnej w zdaniu pojedynczym. Porównywaniem różnych aspektów (np. stylu, form językowych czy leksykalnych, użytych środków wyrazu artystycznego i innych) oryginału i jego przekładu (lub przekładów) zajmuje się językoznawstwo i literaturoznawstwo kontrastywne w ramach przekładoznawstwa porównawczego.

Podczas tłumaczenia ważna jest właściwa interpretacja, zrozumienie oraz niezbyt nachalne korzystanie z zapożyczeń, wyczuwanie adekwatności tekstu. W liryce forma ma większe znaczenie niż w prozie. Poezja, często nazywana „językiem serca”, jest formą literacką, która skupia się na rytmie, melodii czy metaforycznych obrazach. W wierszach ważne są rymy, rytm, aliteracje, metafory, nierzadko intertekstualność, czyli odniesienia do innych tekstów, nauk czy motywów. Ten ostatni element jest często spotykany w tomiku wierszy Edyty Kulczak pt. *www.john*, w którym poetka odnosi się między innymi do koncepcji filozoficznych, znaków biblijnych i mitologicznych, nauki - astronomii, badań fizycznych i fizyki kwantowej, znaków ze znanych utworów literackich, starych stylów czy znaków współczesnych mediów komunikacyjnych. Z własnego doświadczenia wiem, że przekład wierszy z tego zbioru jest ciekawym wyzwaniem translatorskim. Podczas Konferencji Poetyckiej w Dreźnie czytany był wiersz Edyty Kulczak pt. *Z podróży* oraz jego tłumaczenie.

Z podróży

W Monachium zawsze pada deszcz
by nie przeoczyć jesieni można zaszyć się
w małym hotelu pod miastem i czekać
już w sierpniu pachną tam żółte liście
a wiatr nuci samotnie za oknem

lubię czekać na ciebie nawet gdy wiem
że nigdy nie przyjdiesz lubię układać
niewysłane listy pisać chcę wracać
tamta jesień w lesie była bardziej nasza

mówisz nie w Monachium świeciło
słońce nikt nie czekał na deszcz
wymyśliłaś to

lubię wymyślać cię
chcę wracać

Aus der Reise

in München regnet es immer
um den Herbst nicht zu übersehen, kann man sich in
klein´ Hotel
am Strand verstecken und warten
schon im August duftet es dort nach gelben Blättern
und der Wind summt zurückgezogen hinter dem Fenster.

Ich warte gern auf dich, auch wenn ich weiß
 dass du nie kommst.
 Gern ordne ich die nicht abgeschickten Briefe schreiben
 ich will zurückkehren –
 jener Herbst im Wald war mehr unser

du sagst: nein in München schein die Sonne, niemand wartete
 auf den Regen
 das hast du dir ausgedacht
 ich denke mir dich so gern aus
 ich will zurück

tłum. Beata Bednarowska

Ciekawe projekty tłumaczeniowe w ramach dofinansowania Übersetzerfonds są realizowane w Sprachcafé Polnisch (w Kafejce Polskiej) w Berlinie. Odbyły się tam już dwie jego edycje, podczas których uczestnicy mierzyli się z przekładem tekstów Agnieszki Osieckiej, zespołu *Raz Dwa Trzy* na język niemiecki oraz Hildegard Knef i zespołu *Element of Crime* na język polski. Miałam możliwość uczestnictwa w tych spotkaniach. Była to nie tylko wspólna praca nad tekstami i zonglowanie słowami w poszukiwaniu trafnych ekwiwalentów (słów czy zwrotów), ale też okazja do wymiany doświadczeń

i mierzenie się z tajnikami przekładu literackiego czy poznawanie tła kulturowego czasów, w których powstawały teksty i utwory. Piosenki Agnieszki Osieckiej były już wcześniej tłumaczone na język niemiecki i śpiewane przez Marylę Rodowicz, można je znaleźć i posłuchać, na przykład na You Tube.

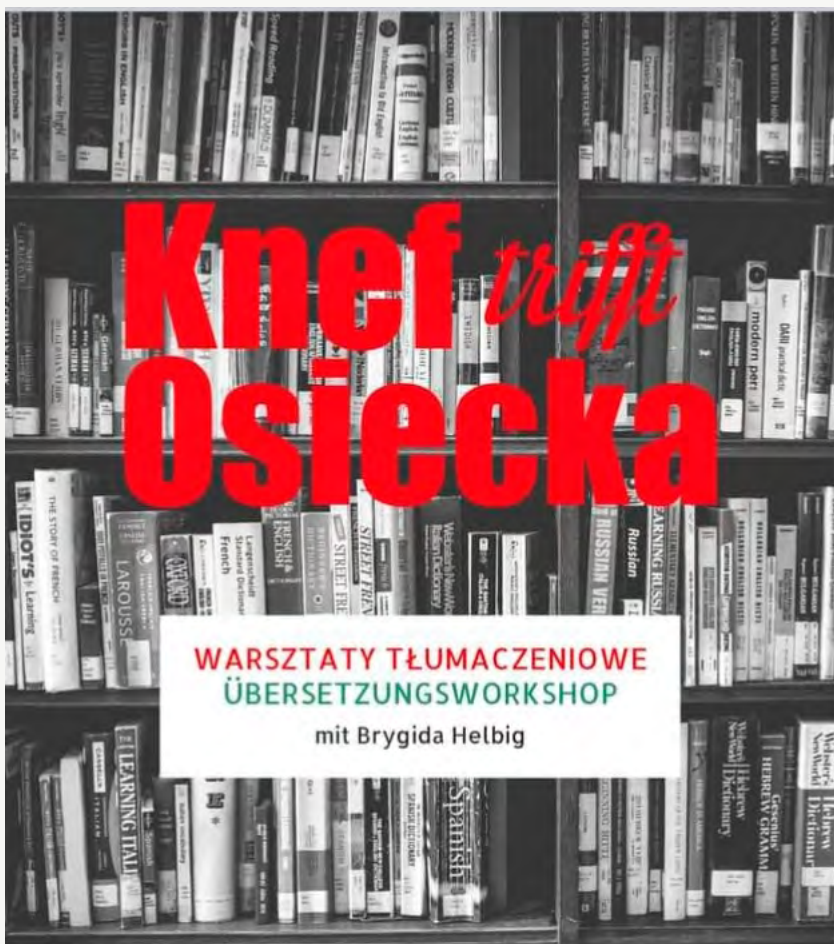


Rok 2023, w którym Wisława Szymborska obchodziłaby setne urodziny, był rokiem polskiej noblistki. W Polsce udało się nadać wysoką rangę tłumaczom poezji Szymborskiej. Fundacja im. Karla Dedeciusa przy Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, w kooperacji z Zakładem Translatoryki i Glottodydaktyki w Instytucie Filologii Gemańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, Fundacją Wisławy Szymborskiej oraz Wydawnictwem Suhrkamp ogłosiła w październiku 2023 roku konkurs na najlepsze literackie tłumaczenie wiersza Wisławy Szymborskiej pt. „Śmiech”. Na konkurs

wpłynęło 60 zgłoszeń, co jest świadectwem dużego zainteresowania tłumaczeniem poezji i wierszami poetki. Dużą część wierszy naszej noblistki przetłumaczył na język niemiecki Karl Dedecius. Jak twierdził ten wybitny tłumacz: „**Kulturą osiąga się więcej niż polityką**”. Tak więc wszelkie aktywności, mające na celu działalność popularyzatorską czy edukacyjną służą temu celowi. Tłumaczenia literackie mają bowiem znamiona sztuki. Istnieją stowarzyszenia tłumaczy literackich oraz współtworzone są sieci tłumaczy (np. platformy). Studenci

biorą udział, w ramach projektów edukacyjnych, w warsztatach tłumaczeniowych. Organizowano też projekty na temat recepcji i badań Dedeciusa, Herberta i Szymborskiej.

Do rozwoju percepcji literatury i uwrażliwiania na słowo, tekst i kontekst przyczyniają się zarówno autorki/autorzy utworu, jak również autorki/autorzy przekładu literackiego. Ważne jest, aby tym działalnościom nadać odpowiednią rangę, np. dopuszczając wiedzę tłumaczek/tłumaczy na uczelnie, organizując spotkania autorskie z autorami/autorkami i tłumaczkami/tłumaczami wierszy czy prozy, organizując Międzynarodowe Konferencje Poetyckie, konkursy czy warsztaty tłumaczeniowe, gdyż słowa i znaczenia słów między językami mają moc i są pomostem łączącym kultury. Tłumacze są nie tylko rzemieślnikami słowa, ale pośrednicząc między językami i kulturami i „zonglując słowami” stają się artystami słowa, by właściwie oddać sens i klimat przekładanego dzieła, przy czym w prozie jest on bardziej konkretny, a w liryce i reklamie uwzględnia też formę i metafory czy wizualizację.



Beata Bednarowska

Bibliografia

Böll, H. *Ansichten eines Clowns*, Leipzig 1990

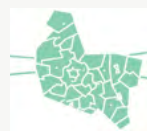
Böll, H. *Zwierzenia kłowna*, Warszawa 1989

Kulczak, E. *www.john*, Wydawnictwo Kontekst, 2017

Antologia polskiej poezji *Jak podanie ręki*, Poznań 2018

www.ub.europa-uni.de/ Europa-Universität Viadrina Frankfurt (Oder)

www.agencjatlumaczen.com.pl/slynne-cytaty-w-tlumaczeniu



Andrzej Mularczyk

Felieton niekulturalny o kulturze

Dyżurne czytanie

Narodowe czytanie uznanych dzieł literackich stało się bardzo modne. Prezydent ogłasza, co tym razem ma nas zachwycić. Aktywiści kulturalni ruszają do wyścigu. Jak na wybiegu mody w Paryżu. Panie w niepowtarzalnych strojach, panowie w garniturach stają w szeregi, by czytać publicznie to, co zostało im nadane z góry. A ileż przy tym wytrawności, że tylko na portrety, a potem zawiesić nad fotelem w gabinecie. Wielu z tych co na świeczniku poczuwa się do obowiązku, żeby wystąpić. Posłowie, kandydaci na radnych i kandydaci na literatów. Dyrektorzy bibliotek, podległe im bibliotekarki, a nawet koła gospodyń wiejskich w strojach ludowych.

Pozostali przebierają się w stroje historyczne godne prezentowanej epoki. Są więc kapelusze, szpady i długie suknie ciągnące się za właścicielką po wszechobecnej kostce brukowej. Bywa tak słodko, że czasami aż mdło. Co by powiedział na to Witold Gombrowicz? Ale kto dzisiaj czyta Gombrowicza, chociażby dlatego, żeby wyrobić w sobie relatywny ogląd rzeczywistości. Dzisiaj wszystko musi być poprawne, ułożone w szeregu jak na lekcji wychowania fizycznego. Żadnych fajerwerków, zestaw ćwiczeń wedle ustalonej wcześniej ścieżki. Fikołek, salto, na koniec skłon. I już jesteśmy w systemie. System najważniejszy. Bylebyśmy zadeklarowali przynależność do towarzystwa gimnastycznego.

A co po tym, gdy zostanie zgaszone światło? Wieszczy odstawiony na półkę w bibliotece. Jakie ślady pozostają wśród uczestników tej uczty słownej poza wrażeniem wywołanym strojami aktorów? A co z tymi, którzy na uczcie nie byli? Przecież ich jest tysiąc razy więcej. Jakaś próżnia się wytwarza. Ładunki elektryczne powinny przeskakiwać między elektrodami. Jest tak cicho, jakby nikt nigdy nie śpiewał i ludzkość nie odkryła jeszcze muzyki. Wydaje się być wszystko przed nami. Podzieleni między sobą, podzieleni w sobie. Na dwie części, którym coraz trudniej jest się odnaleźć. Chciałoby się, żeby ci, którzy byli na uczcie podali dalej swoje refleksje.

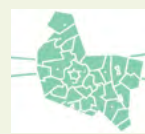
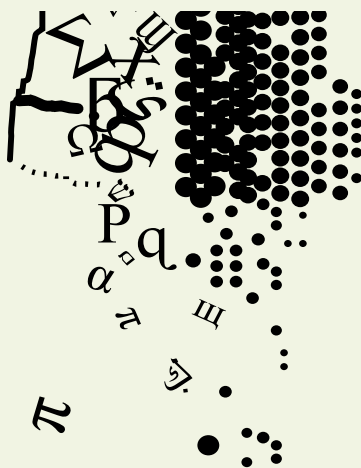
Ale stroje schowane zostały do szafy i dzień zamyka się tak samo jak wiele innych zwyczajnych dni. A przecież nie miał być to dzień zwyczajny, miał stać się początkiem nowego. Mieć piękny dalszy ciąg. Otworzyć tajemnicę, na jaką człowiek został skazany od chwili swojego stworzenia i tę tajemnicę nosi w sobie jak drzazgę czy niegojącą się ranę. Nie da się jej zagoić, egzystencja jest od nas silniejsza i zawsze z nami wygrywa. Tylko nielicznym udaje się zachować spokój chińskiego filozofa Lao Tsy i drogą Tao przejść od narodzin do zgody na śmierć.

Chętnie zobaczyłbym osoby, które promują się podczas narodowego czytania, popularyzujące utwory miejscowych artystów. Przecież przede wszystkim jesteśmy tu i teraz i wszystkie problemy, które pojawiają się na wyciągnięcie ręki są najbardziej wspólne. Tutaj żyjemy i umieramy. Mamy rodziny, przyglądamy się tragediom

innych i przeżywamy własne. Dlaczego boimy się pokazać to w naszych Małych Ojczyznach, a kreujemy się przy woskowych figurach literatury z dawno minionych czasów?

Może dlatego, że regułą jest, że na ogół współczesność nie ceni sztuki swoich czasów, gdyż artyści opisując rzeczywistość, w której funkcjonują stają się często oskarżycielami przeciętności, bylejakości ludzkiej egzystencji, a tego na ogół sobie nie życzymy. Wolimy myśleć o sobie w sposób, który proponuje nam wybrany pilotem telewizyjny kanał.

Andrzej Mularczyk



Dariusz Głowacki

Kontynuacja, sprzeciw i artystyczna rebelia

Ekspozycja prac Artura Kłosińskiego (Kosaara and People – „Actions of Nature”) w *Ptasim Parku* w Mosinie skłania do refleksji nie tylko nad pracami artysty. Prowokuje nas także do zadania bardzo poważnych pytań o status i stan współczesnej sztuki, obecność jej wytworów w przestrzeni publicznej, o rolę artysty. Ale już w tym miejscu możemy o Arturze Kłosińskim napisać, że ma w swoich rękach metaforyczny granat, a jeśli nie granat, to przynajmniej tłący się pod ładunkiem lont.

Zanim przejdziemy do prób usytuowania jego prac w obrębie wysoce złożonych zagadnień, musimy się im trochę przyjrzeć i przybliżyć charakterystyczną praktykę artysty.

W twórczości Artura Kłosińskiego możemy rozróżnić dwa rodzaje aktywności. W pierwszej kolejności powinniśmy zwrócić uwagę na fotografie związane z miastem i pejzażem. Artysta wybiera bardzo specyficzne tematy do rejestracji. Są to miejsca w jakiś sposób zdewastowane i zdegradowane wpływem czasu, ingerencją człowieka lub działaniem przyrody. Opuszczone budynki, pozostawione śmieci, bezludne krajobrazy. Takie miejsca mają w sobie bardzo duży ładunek emocjonalny, są pełne niepokoju, nostalgii, smutku czy nawet strachu. Artysta dokonuje na swoich fotografiach różnego rodzaju ingerencji, przyciemnia je, dodaje czasami koloru, uzyskuje efekty podobne do solaryzacji lub izohelii. Tego rodzaju zabiegi pogłębiają wrażenia, jakie uwiecznione miejsca wywołują. Fotografie mają swoje podpisy i opisy. Artysta bardzo często pozostawia w miejscach uwiecznionych na fotografiach tabliczki z takimi informacjami.

Drugi rodzaj prac tworzonych przez twórcę - to blachy, na których odnajdujemy mniej lub bardziej abstrakcyjne formy. W tym przypadku artysta odwraca znalezione w różnych miejscach (miejscach podobnych do tych na fotografiach) metalowe płaszczyzny niezakonserwowaną stroną do ziemi, pozostawia na określony przez siebie czas, a po jego upływie poddaje czasami dodatkowo jakiejś interwencji (domalowania, usuwanie niechcianych fragmentów itp.). Efektem tego procesu i działań są wizerunki przypominające nieco pejzaż lub fragmenty powierzchni, na których swoje piętno pozostawiła natura (jak na starych ścianach, płotach, chodnikach). Tak jak w pierwszym przypadku prace obdarzone są tytułami i opisami.

W obu wariantach swoich prac artysta stawia na podobny tryb postępowania. Jest to przede wszystkim wnikliwa obserwacja, wybór tematu, efektu zachodzących procesów oraz próba usytuowania finalnej pracy w przestrzeni sztuki i jej historii. Informują nas o tym podpisy prac i ich przyporządkowania. Znajdziemy wśród nich takie tytuły jak: „*Le Corbusier's last home, Painting in the public square, Metropolitan Museum of Art Collection*”, „*Vincent van Gogh Gardens, Installation in the public square*”, „*Kosaara and people in Poznań. Painting in the public square. Johannes Vermeer Collection.*”. „*Kosaara and people in Poznań. Painting in the public square. Edward Hopper Collection*”, „*Kosaara and people Actions of Nature, MoMa Collection*”. Prace i ich tytuły są pierwszym zauważalnym sygnałem, że mamy do czynienia z czymś niezwykle przewrotnym. Z jednej strony twórca wyraźnie traktuje swoją

sztukę jako nieodłączny fragment większej całości i ciągłości. Odwołania do Van Gogha, Vermeera czy Hoppera świadczą o poczuciu wizualnej i historycznej przynależności. Z drugiej strony artysta często woli rolę świadka jakichś zdarzeń i osoby je dokumentującej. W przypadku blach bezpośredni wpływ na stan końcowy jest niejednokrotnie nieomal ograniczony do zera, a artysta pozostawia sobie tylko wybór tytułu. Także samo autorstwo prac staje się czymś nieoczywistym i niejednoznacznym. Mamy do czynienia z niezwykle ciekawą sytuacją. Prace są świadectwem całego kontinuum sztuki, a zarazem są wobec niego przewrotną formą sprzeciwu. Artysta przyzywa przykładowo twórczość Vermeera, ale robi coś zupełnie nieoczekiwanego. Wskazuje nam jakieś miejsce i informuje: „popatrz, Vermeer jest tu”.

W dodatku obraz Vermeera stworzony poprzez upływ czasu, aktywność ludzi i przyrody, i współdziałal artysty. Cała sytuacja przypomina nieco relację pomiędzy mistrzem i uczniem, kiedy to uczeń musi w końcu dokonać własnych wyborów i zdecydować, czy jest tylko kontynuatorem twórczości swojego nauczyciela, czy też, korzystając z jego wiedzy i nauk, podąża jednak własną ścieżką. Wybór Artura Kłosińskiego jest oczywisty. W twórczości artysty jest jednak ukryty wymiar, którego znaczenie nie od razu jest jasne. Prace artysty mają w swoich podpisach informacje o przynależności do różnego rodzaju kolekcji. Widzimy podpisy lub tabliczki z napisami: „MoMa Collection”, „Edward Hopper Collection”, „Societe Anonyme Collection”. I oczywiście zadajemy sobie pytanie, czy prace należą do wymienionych kolekcji, czy to jest żart lub rodzaj prowokacji. Nic z tych rzeczy.

Wiele osób ma kłopot jak kwalifikować dzieła sztuki, co decyduje o tym, że nadajemy niektórym obiektom wartość, a innym nie. Nie jest to problem błahy i nurtuje on nie tylko odbiorców i samych artystów, ale i teoretyków sztuki, czyli osoby w znacznej mierze odpowiedzialne za rozstrzygnięcie tego rodzaju zagadek. Spróbujmy zatem znaleźć odpowiedź.

Tym, który prawdopodobnie w najbardziej spójny i konsekwentny sposób zdiagnozował stan współczesnej sztuki, dając zarazem wielu jej orędownikom najskuteczniejsze narzędzia jej obrony, był Arthur Coleman Danto, koroner i zarazem akuszer ponownych narodzin sztuki.

Amerykański krytyk i filozof postawił sobie za zadanie zrozumieć, co właściwie sprawia, że twórczość współczesnych artystów odbieramy jak sztukę. Danto znany jest najbardziej jako propagator terminu „Koniec Sztuki” i zarazem jako apostoł postsztuki, wynalazca pojęcia „*The Artworld – Świat Sztuki*”, pojęcia niezwykle pojemnego, umożliwiającego pośmiertne trwanie sztuki. Oba terminy mają zasadnicze znaczenie dla jej obecnego stanu. Lekceważymy tutaj nieco chronologię powstania pojęć, bo „*Koniec Sztuki*” pojawił się w sposób najbardziej wyrazisty w pracy „*The Transfiguration of the Commonplace*” (Harvard University Press, Cambridge 1981), a termin „*The Artworld*” w eseju pod tym samym tytułem z roku 1964.

Ostatni termin jest szczególnie interesujący dla naszych rozważań. Gdy skończyły się wszelkie ograniczenia w sztuce, gdy przestała być ona redukowana przez warsztat i społeczne role, gdy wreszcie okazało się, że jest ona w istocie filozofią i wszystko może być sztuką, trzeba było znaleźć odpowiedź na to kto, co, i jak decyduje, że coś sztuką ostatecznie jest. Według A.C. Danto nowym czynnikiem uwiarygadniającym sztukę i nadającym jej sens jest właśnie „*The Artworld – Świat Sztuki*”. Pod tym sprytnym szyldem ukrywają się krytycy, kuratorzy, instytucje kultury (muzea i galerie) oraz artyści. To właśnie Świat Sztuki wskazuje i uznaje jakiś obiekt, zjawisko, a nawet myśl, za sztukę i uzasadnia jej fenomen. Mamy tutaj do czynienia ze współzależnością mniej lub bardziej arbitralnych decyzji i interpretacji (objaśnień, opisów i wyjaśnień) i ich wpływem na dany obiekt. Żeby potencjalny odbiorca zakwalifikował coś jako sztukę, niezbędna jest mu zatem wiedza na temat teorii sztuki, kulturowe konwencje i pola interpretacyjne. Albo zaufanie do Świata Sztuki.

Koncepcja Danto jest spójna i dość klarowna. Zdaje się jednak zakładać pewien wertykalny porządek, który może być w istocie torem przeszkód nie do pokonania, i dla twórcy, i dla odbiorcy. Wygląda on zazwyczaj tak: artysta, dzieło sztuki, kurator, galeria, krytyk i finalnie nabywca, kolekcja lub muzeum. Baczni obserwatorzy sztuki i instytucji z nią związanych wiedzą, że kryteria decydujące o znaczeniu artysty i jego prac nie są bynajmniej jednoznaczne i klarowne. Bardzo często nie jesteśmy w stanie zrozumieć, dlaczego jedne dzieła sztuki są tymi ważnymi, a inne nie. Jest tak wielokrotnie mimo podobieństw formalnych, a nawet wniosków, które powinny wynikać choćby z chronologii. Okoliczności komplikują się jeszcze bardziej, kiedy to np. kurator staje się inicjatorem powstania dzieła odpowiedniego dla jego własnych założeń. Obecna sytuacja jest tym bardziej dynamiczna i złożona, że nowe technologie informatyczne dokonują także swoich przewartościowań. Niejednokrotnie, i szczęśliwie, demokratyzują także relacje między artystą, sztuką i odbiorcą.

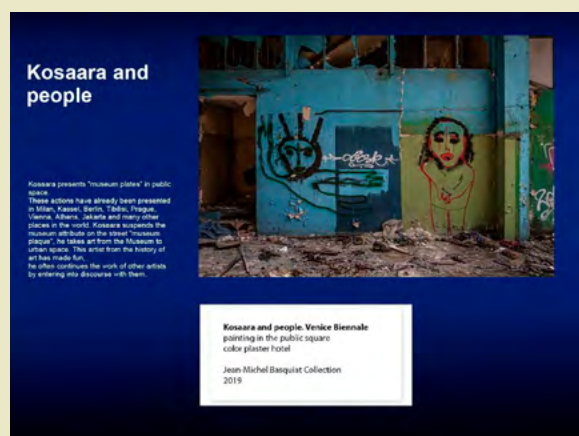
I tutaj znajdujemy ponownie twórczość Artura Kłosińskiego i jego rewolucyjną w istocie postawę. Wymiar jego sztuki sprowadza się do bezpardonowych i niezwykle orzeźwiających stwierdzeń. Twórca poprzez swoją sztukę mówi: „*jestem artystą, tworzę, przynależę do historii sztuki i nadaję jej nowe znaczenia,*” i wreszcie „*to ja decyduję, co sztuką jest i jaka jest jej ranga*”. W skrócie: „*to ja jestem Światem Sztuki*”. Potencjał takiej postawy jest niesamowity i ma w sobie ożywczą moc przywracającą ufność w pozycję artysty. Świat ulega nieustannym przemianom. Zastane porządki ulegają erozji, trwale zdawałoby się instytucje i jednostki o ogromnych wpływach tracą swoje znaczenia. Nie zawsze to zauważamy. Jedną z ról artysty jest nam to uwidaczniać i uświadamiać. Artur Kłosiński spełnia tę powinność w bardzo oryginalny, konserwatywny i jednocześnie anarchiczny sposób.

Dariusz Głowacki

Fragment wystawy fotografii Artura Kłosińskiego - *Kosaara & People* w Galerii Sztuki Rozruch, kwiecień 2014 r. Fot. W. Zakrzewski



Praca Artura Kłosińskiego - *Kosaara & People*.
Fot: zbiory Rodziny Artysty



Agnieszka Budzyńska

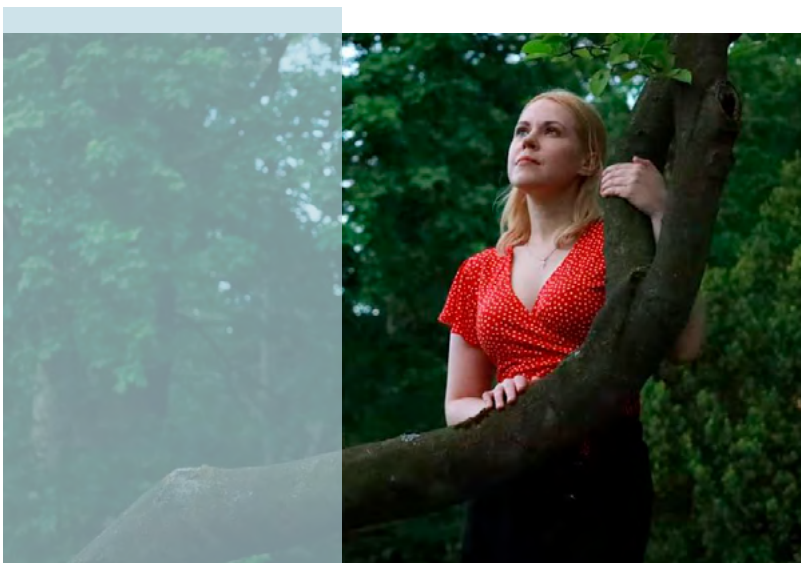
DEBIUTY

* * *

Wertera i moje jednym stało się cierpieniem
Założyłam już żółto-niebieską kamizelkę
Uciezka szumiała i czystym była planem
Cichym płomieniem rozgrzewała wnętrze,
późną nocą sklejała sny
Szklane motyle fruwały w obłokach
marzenia skakały wraz z nimi w przestworzach...
Po czarnych kwiatach chodziłam boso,
czubkami palców dotykałam jeszcze ziemi
Skrępowana myślą, zapatrzona w drzewa,
szukałam zapachu pozostania tutaj...

* * *

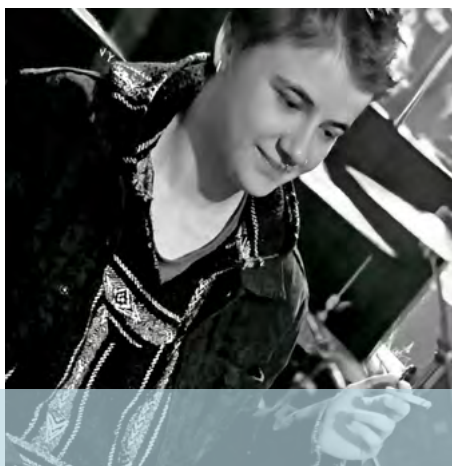
Wszystko jest kruche jak podmuch wiatru w porcelanie
Jak ułamek człowieka w bramie
Jak lecący ptak, jak pachnący kwiat, uśmiech dziecka, łapa psa
Pocałunek na powitanie, kiwnięcie na pożegnanie
Tyle kruchości mało dostrzeganych, zamiatanych nogą
Ulotnych dni mierzonych nocą
Kapryśnych lat, szeregu wad
Poranków i splotów wydarzeń
Korytarzy wspomnień i labiryntów słów
Tylko potrzeb przybywa, oczy zakrywa na świat
Zatrzymaj się i patrz



Pochodzę z Krotoszyna. Kocham literaturę, kino oraz muzykę. Uwielbiam przebywać na łonie natury, otaczać się pozytywnymi ludźmi. Zajmowałam się fotomodelingiem, ale problemy zdrowotne zrujnowały moje plany. Nauczyły pokory, a także wdzięczności za otaczający świat, za to co mam. W mojej twórczości jest sporo smutku oraz pochwały przyrody. Poezja daje mi ukojenie. Jest dla mnie autoterapią.

niedosyt istoty

głębszy odwiert wykonam niż jest
na kolskim półwyspie
młotem przebijając najgrubsze bólu ściany
duszę mą nad nieboskłon
powietrze wzniesie
w podziemia me ciało znosząc
ananke bogini już nie czuwa
z podmuchem wiatru i ostatnim tchnieniem
liść laurowy dorzucam do codzienności
by tkwić w niedosycie istoty
przędziemy osobiście mojrówą nić
niczym jedwabnik morowe włókno
w światłości bezczasie świetlnych lat
przez mikroskopu różowy okular
z pozoru tylko bowiem czyha wiele
z pozoru ścieżek nieokrzesanych
jak dzień i noc
poranek dzień siódmy
uświęcony mną
tobą/nim/nią
nawet nami
poniekąd tylko
na karuzeli kalejdoskopu
przez teleskop zachwyty życia
tańczę w świętości prawd
z tobą/nim/nią
nawet nami
poniekąd tylko
wnikamy nawzajem
w rozszczepieniu światła
barw wyobrażeń
w nowy ewolucji czas
niedosytu
istoty
głodnej



Wiktoria „Szyndra” Szyndrowska (ur.2001) żołnierz w 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej. Jej poezja głęboko penetruje znane ścieżki literackie i umiejętnie wnika w toposy i archetypy. W przygotowaniu pierwszy tomik pt. „Kłątwy i urojenia”, który ujrzy światło dzienne nakładem Wydawnictwa Debiutant z Księgarnią Internetową.



Marcin Szyndrowski

I wtedy Kącik Literacki cichutko westchnął i spytał: - Gdzie byłeś do tej pory?

Kącik Literacki żyje. Pokazują to nie tylko statystyki i słupki, które bacznie obserwuję, ale również „żywe dyskusje” poza Facebookiem, które tak chętnie udostępniam, ciesząc się sukcesem waszych dzieci, przyjaciół, znajomych, sąsiadów, pracowników czy pracodawców. To miłe, prawda? Umieć dzielić się tal-

entem. Każda z Pięknych Istot pojawiających się na tej stronie zasługuje na wielkie słowo: - DZIĘKUJĘ! Bez Was to miejsce nie miałoby większego sensu.

Zawsze chciałem prowadzić swój własny Kącik Literacki. Spełniam zatem swoje, kto wie, może ostatnie marzenie. Kącik Literacki, w założeniu, ma skupiać młodych twórców poezji, którzy piszą, a następnie chowają wiersze do szuflady. Jako krytyk literacki z wykształcenia, a do tego wychowawca i nauczyciel wiem, że to bardzo ważne jak najwcześniej zauważyć być może przyszłe talenty. Rozszerzyłem zatem formułę strony i zapraszam do kącika również młodych ludzi z innych części powiatu krotoszyńskiego oraz starszych poetów i poetki, którzy - po wielu

latach dopiero - wyszli z mroku swoich szuflad.

Całości dopełniają osoby uznane już w środowisku literackim, których twórczość wykracza poza granice Wielkopolski czy Polski. Kto wie, być może zawiąże się Kącik Literacki w przestrzeni rzeczywistej? Na razie formuła Facebookowa pokazuje, że warto się nad tym zastanowić.

W Kąciku Literackim chciałbym poruszyć aspekt historyczny, który z pewnością zainteresuje czytelników. Materiałów archiwalnych, w tym wspaniałych zdjęć, zachowało się całkiem sporo. Zapewne i Wy – Drodzy Czytelnicy - będziecie częścią tych opowieści, które wspólnie odtworzymy dla potomnych.



Już niebawem pojawi się artykuł o nieistniejącej już Grupie Literackiej Poboki działającej w Krotoszynie. Wiele osób z tej grupy wciąż aktywnie udziela się w szeroko pojętej, kulturze. Na koniec. Komentujcie i polecajcie nasz Kącik Literacki. Z poetyckim pozdrowieniem!

Pierwsze koty za płoty, czyli rzecz o spotkaniu literackim w KOK

Na ostrzu spraw w codzienności gwarze postawili kropkę przed ważkim słowem: przeznaczenie. Dokąd pędzi czas? Nie mieli pewności ani odwagi, by zadać kolejne pytanie.

Zrozumieli jednak, że zbyt długie siedzenie w jednym miejscu to ubywanie. Taki był koniec i wspólne tworzywo literackie pt. „Przebudzenie”, które stało się pokłosiem dwugodzinnych warsztatów literackich. Te odbyły się 3 kwietnia 2024 roku w sali lustrzanej Krotoszyńskiego Ośrodka Kultury. I było to pierwsze spotkanie na zaproszenie Pawła Władysława Płócienniczaka oraz Marcina Szyndrowskiego, którzy gościli osoby chcące tworzyć środowisko literackie Krotoszyna.

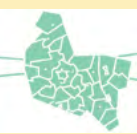
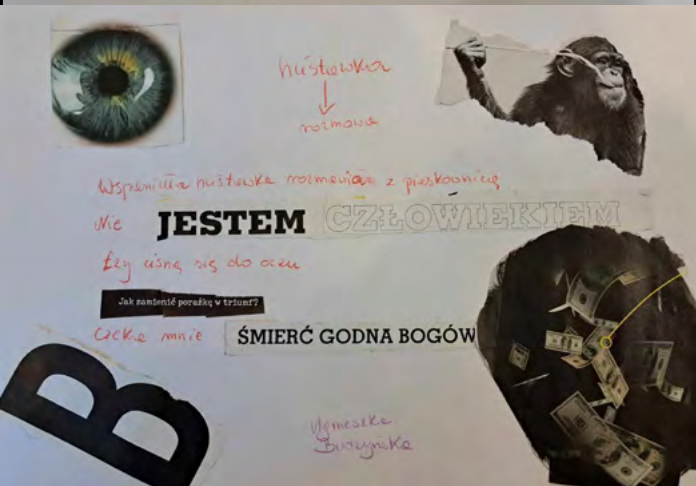
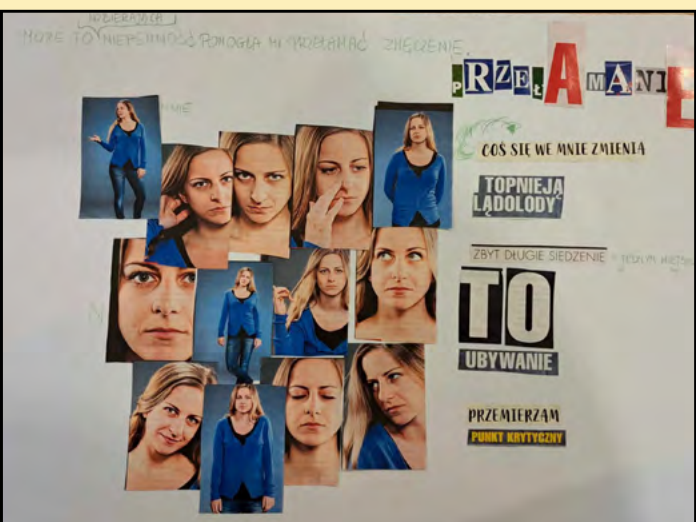
Pierwsze spotkanie zaowocowało już pracą twórczą, która uzupełniana była wspólną integracją. Prowadzący zajęcia skupił się na uzewnętrznianiu lirycznego „ja”, które miało zawitać na białą przestrzeń papieru. Każdy uczestnik warsztatu zapisywał na kartce dwa wybrane przez siebie słowa. Pierwsze miało dotyczyć stanu emocjonalnego, w jakim przybył na spotkanie, a drugie, miało być odpowiedzią na pytanie: Co

takiego udało mi się dzisiaj osiągnąć dobrego?

Następnie wszyscy tworzyli z podanych przez siebie słów zdanie, które rozwijało się w liryczne poema przy użyciu dostępnych gazet i kredek.

Czas dość szybko się skurczył. Deklaracja uczestników, że warto spotykać się dalej - cieszy. Następny warsztat już pod koniec kwietnia. O terminie poinformujemy na stronie Krotoszyński Ośrodek Kultury i Kącik Literacki. Wszyscy mają za zadanie zabranie z sobą czegoś, co kojarzy się z dzieciństwem. Zapraszamy tych, którym zabrakło czasu, z motywacji wszelakich, do udziału w spotkaniach.

Marcin Szyndrowski



Milowy Słup Kultury

26



Bezimienny z tysiącem nazwisk, niewzruszony!

Stoi tam przez cały czas, nigdzie się nie rusza.
 Nikt go nie ruszy i nic go nie ruszy.
 Bezimienny z dziesiątkami nazwisk na skórze.
 Nieugięty, mimo rozrytej ulicy czy potem naprawionej.
 Pogody cieplej czy zimnej.
 Stoi i czeka aż zwrócisz uwagę.
 Aż któreś nazwisk zainteresuje twoje oczy.
 Może i nawet podejdziesz, przeczytasz, co ma do powiedzenia.
 A może tylko przejdziesz obok, przez chwilę podążając za czymś wzrokiem.
 Nawet jeśli...
 To wiesz, że on jest, że czeka, że stoi i nigdzie się nie wybiera.
 Słup ogłoszeniowy!

Autor fotografii i tekstu: Mikołaj Wolgetan, polawiacz słów z grupy literackiej w MDK-u nr 1 w Poznaniu

Miejsce fotografii - ul. Dmowskiego, naprzeciwko Klubu Krąg w Poznaniu.